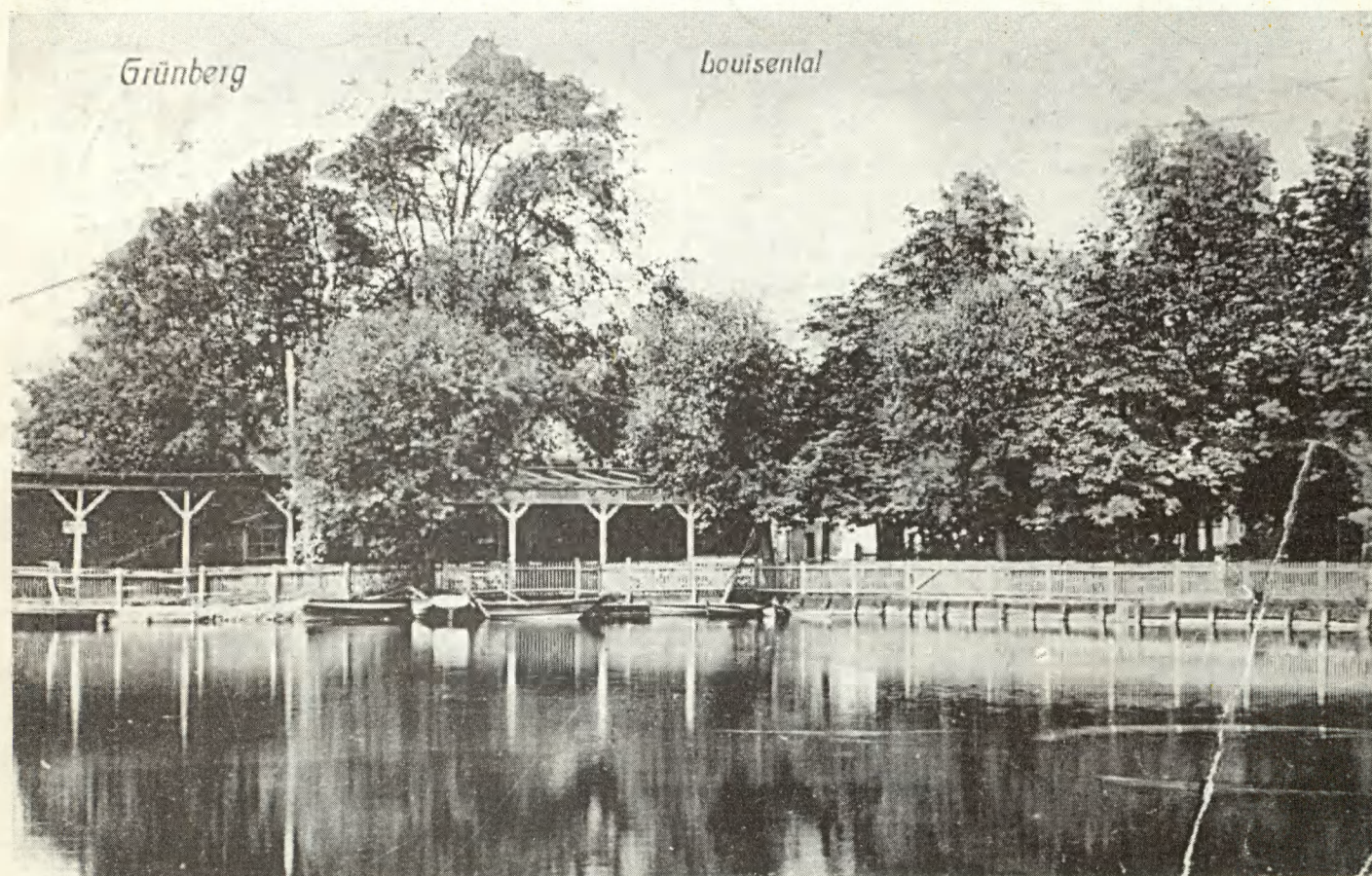


ISSN 1427-6720

NR 2(6) 98 ROK III
ZIELONA GÓRA
Cena 2 zł

Pionierzy

CZASOPISMO SPOŁECZNO-HISTORYCZNE



- ◆ „Wici Naszego Hufca”
- ◆ Historia z rodzinnego albumu
- ◆ Pionierski czas plastyki
- ◆ Kiedy myślę Ojciec
- ◆ Norwidowska Książnica

W świecącym kloszu latarni
twój uśmiech się kotysze
leżące na bruku piersi
dotyka żebrak catuje
zielonkawa woda
przechodzi noc
ucieka potykając się czasami
o zimny skrzypiący płot
który przecież
przy twoim dotyku świecił
wróciłaś na tę ulicę
gdzie nie ma już żadnego znaku
choć żyje jeszcze ten wiatr
wygrywający często
pisane do ciebie listy.

*Z tomiku „Biały walc konwalii”
pod redakcją Zenona Łukaszewicza*



Il. Stanisław Para

Pionierzy

ROZKŁAD PISMA • HISTORIA • HISTORIA

Wydawca:

Sekcja Historyczna Stowarzyszenia
Pionierów Zielonej Góry,
ul. Stary Rynek 1,
Ratusz - Sala Wspomnień,
65-067 Zielona Góra.

Redakcja:

Redaguje Kolegium w składzie:
Maria Gołębiowska,
L. Krutulski-Krechowicz (fotograf)
Wiesław Nodzyński,
Tomasz Nodzyński,
Wojciech Strzyżewski.

Adres Redakcji:

ul. Stary Rynek 1,
Ratusz - Sala Wspomnień,
65-067 Zielona Góra

Skład komputerowy i opracowanie graficzne:

Heroldia P.R.

Korekta:

Grażyna Karpińska

Okładka:

Reprodukcja
Leszek Krutulski-Krechowicz

Druk:

Drukarnia „EURODRUK”
Zielona Góra

Materiałów nie zamawianych
redakcja nie zwraca.

W materiałach nadesłanych
redakcja zastrzega sobie prawo
dokonywania zmian redakcyjnych.

Za treść reklam
redakcja nie odpowiada.

Od redakcji

Oddajemy do rąk naszych Czytelników szósty już a drugi w tym roku, numer „Pionierów”. Jak zwykle znajdziecie w nim sporo interesujących tekstów. Zwracamy uwagę tylko na niektóre z nich. **Tadeusz Dzwonkowski** kontynuuje relację o niełatwych dziejach pierwszej po wojnie polskiej parafii rzymskokatolickiej w Zielonej Górze, kiedy to na przełomie lat 1945-46 „rozgłaszano tu i ówdzie wiadomości, że Watykan nie chce uznać przynależności tych ziem do Polski”. **Grzegorz Chmielewski** pisze o imponującym dorobku Zielonogórskiej Książnicy im. C. Norwida, która w ub. roku obchodziła 50-lecie swej działalności (zaczęło się od niewielkiej wypożyczalni książek, uruchomionej 3 Maja 1947 r. w nieistniejącym już budynku przy ul. 3 Maja 46, obecna ul. Jedności). **Zbigniew Bujkiewicz**, który często gości na naszych łamach, tym razem pisze o losach swojej rodziny, wywodzącej się z Baranowicz. **Jadwiga Kolibabka** snuje w dalszym ciągu interesującą opowieść o rodzinnym Polesiu. **Witold Nowicki** opowiada o „pradziejach” lubuskiej plastyki, zaś **Jan Muszyński** uzupełnia tę relację świetnie napisaną gawędą o Ignacym Bieńku, jego małżonce Ingebordze, którzy „przemknęli” przez Zieloną Górę, a jednak utrwaliли się w naszej pamięci. **Stanisław Prałat** przypomina dzieje piwowarstwa w świecie (wszak Zielona Góra jest też jego ośrodkiem) i podaje przepisy smaczne potrawy z dodatkiem piwa. Smacznego i dobrej lektury!

P. S.

Zapraszamy Pionierów do przysyłania zdjęć ze wspomnieniami, aby rubryka „Historia z rodzinnego albumu” stale gościła na łamach naszego pisma.

Tadeusz Dzwonkowski

Ksiądz Kazimierz Michalski (2)

Z nadzieją i zapalem parafianie czekali na nowy, 1946 rok. Niepokoila ich szereg jeszcze w ubiegłym roku przez prasę i rozgłaszana tu i ówdzie wiadomość, że „Watykan nie chce uznać przynależności tych ziem do Polski”. Teza ta miała uzasadniać zerwanie konkordatu przez rząd polski we wrześniu 1945 r. i wskazywała pośrednio na kierunek zmian politycznych w Polsce.

Ksiądz Kazimierz Michalski kilkakrotnie wystąpił z ambony przeciw oficjalnej propagandzie i skrytykował poczynania władz dotyczące wprowadzanych wówczas „ślubów cywilnych”. Niemniej jednak, współpraca władz zielonogórskich i księdza dziekana pozostawała bez zarzutu. Można stwierdzić nawet, że między burmistrzem Tomaszem Sobkowiakiem a proboszczem zawiązała się nie przyjaźni. Łączył ich nie tylko pobyt w obozach koncentracyjnych, ale również poglądy na aktualną sytuację polityczno-społeczną.

Dzięki wstawiennictwu burmistrza i pełnomocnika rządu Jana Klementowskiego ks. dziekan szybko otrzymał od władz wojewódzkich w Poznaniu zezwolenie na przejęcie kolejnego kościoła ewangelickiego. Był to kościół ufundowany przez Lidy Beuchelt po I wojnie światowej, leżący tuż przy prowadzącej do dworca ulicy Generalissimusa Stalina. Już od pierwszych dni stycznia trwały w nim prace porządkowe. Uroczyste poświęcenie kościoła odbyło się 13 stycznia 1946 r. Otrzymał on wezwanie Najświętszego Zbawiciela. Na uroczystości obecni byli przedstawiciele władz. Zarówno burmistrz, jak i starosta zajęli miejsca w pierwszych ławkach. Ksiądz Michalski przeznaczył nowy kościół dla młodzieży szkół średnich. Z powodu braku kapłanów msze św. celebrowano tam tylko w niedzielę, o godzinie 9.00 i 11.30. W dni powszednie kościół pozostawał zamknięty.

Wzorem lat przedwojennych już w połowie stycznia 1946 r. ksiądz Kazimierz Michalski wraz z wikariuszami rozpoczął zwyczajową kolędę. Były to pierwsze wizyty proboszcza w mieszkaniach zielonogórczy. Nowe twarze i nowe obyczaje. Jak zauważył ksiądz „mnóstwo rozbitych małżeństw”. Trudno jest obecnie stwierdzić, ilu mieszkańców przyjęło wówczas ofertę odwiedzin, niemniej jednak trwały one aż do początku marca.

Tymczasem zdarzył się wypadek, który znacznie ochłodził stosunek proboszcza do niektórych przedstawicieli władz. Zbliżała się „pierwsza rocznica oswobodzenia Zielonej Góry”, czyli przejęcia miasta przez wojska Armii Czerwonej. Inicjatorem zorganizowania stosownej uroczystości był sekretarz powiatowy Polskiej Partii Robotniczej Julian Niezgoda, który dokładał wszelkich starań, aby utrzy-

mać jak najlepsze stosunki ze stacjonującymi jeszcze wówczas w Zielonej Górze oficerami rosyjskimi. Na wniosek ówczesnego wiceprezesa Sądu Józefa Stachurskiego, który był jednocześnie przewodniczącym miejscowej organizacji Stronnictwa Demokratycznego, postanowiono do komitetu obchodów tak znaczącej uroczystości zaprosić księdza Michalskiego. Przygotowano młodzież szkolną. Uroczystości rozpoczęły się 16 lutego pochodem z placu Słowiańskiego na cmentarz żołnierzy Armii Czerwonej, który wówczas znajdował się na placu Boh. Westerplatte. Najważniejsze obchody odbyły się nazajutrz. Rozpoczęła je msza św. W kościele pw. św. Jadwigi zgromadził się tłum zielonogórczy. Kazanie do zgromadzonych, w tym do wicewojewody Grosickiego i Juliana Niezgody, wygłosił ksiądz Kazimierz Michalski. Ostrzegając zebranych przed działalnością „sowieckich ateistów”. Zwrócił się również do młodzieży i prosił, aby „ferment światopoglądowy nie zmącił im prawdziwego obrazu wiary”. Słowa księdza były niewątpliwie aluzją do antykatolickich wypowiedzi przedstawicieli lokalnych władz PPR. Po zakończeniu kazania, jak napisał ksiądz Michalski, „w połowie Mszy św.”, Julian Niezgoda wezwał młodzież stojącą w zwartym szyku do opuszczenia kościoła. Polecenie to nie zostało wykonane. W odpowiedzi sekretarz powiatowy PPR wyszedł ze świątyni.

Wzrost intensywności walki politycznej jaki nastąpił już w kwietniu w związku z ogłoszeniem terminu referendum przyniósł narastającą niechęć miejscowych członków PPR do proboszcza. Wówczas to Wydział V Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa zameldował przełożonym w Warszawie, że ksiądz Michalski jest wrogo ustosunkowany do partii lewicy. Konsekwencją tych wydarzeń była odmowa zorganizowania obchodów 1 Maja z udziałem zielonogórskiego proboszcza. Dystans Polskiego Stronnictwa Ludowego wobec tego święta, w tym jego prezesa powiatowego i jednocześnie starosty Jana Klementowskiego, wykrzesał Julian Niezgoda. Nie pozwolił on na wpisanie mszy św. do programu obchodów. Według wcześniejszych uzgodnień miał ją celebrować ksiądz Michalski. Obchody pierwszomajowe odbyły się bez udziału w nabożeństwie. Jakkolwiek były tendencje uświęcenia Dnia Pracy we mszy

św., „Pewne czynniki to udaremniły, czekałem ze Mszą św.” – zapisał proboszcz w swej kronice.

Dalszym elementem walki politycznej, prowadzonej także z proboszczem było rozpowszechnianie pogłosek o wprowadzeniu stałych, wysokich opłat za śluby kościelne. Należy przy tym pamiętać, że w pierwszych miesiącach 1946 r. znacznie wzrosły ceny podstawowych produktów spożywczych, co znacznie uprawdopodobniło pogłoski. Ich powszechność w środowisku zielonogórskim była tak duża, że 19 maja 1946 r. proboszcz wydał nawet stosowne ogłoszenie: „Ostrzegam parafian przed fałszywymi pogłoskami o wysokości opłat za śluby kościelne rozsiewanych umyślnie przez wrogów Kościoła, aby odstraszyć wiernych od ślubów kościelnych. Opłaty kościelne składają wierni według własnego sumienia i możliwości w formie dobrowolnej ofiary”.

Niewątpliwie wspomniane pogłoski były jednym z elementów toczącej się w 1946 r. walki politycznej, w której nierzadko zapewniano sobie władzę przy pomocy kłamstwa i szantażu. Miała ona duży wpływ na zachowanie się księdza Kazimierza Michalskiego. W kazaniach przypominał on o powinnościach moralnych katolików. Z zasady sprzyjał programowi PSL. Jednak nie walka polityczna decydowała o życiu parafii i działaniach proboszcza. Najważniejsza pozostawała praca duszpasterska.

3 marca 1946 r. po raz pierwszy w Zielonej Górze odbyło się czterdziestogodzinne nabożeństwo ku czci Najświętszego Sakramentu. Rozpoczęło ono przygotowania do wielkiego postu. Korzystając z pomocy miejscowej inteligencji ksiądz Michalski zorganizował w tym okresie 3 niedzielne wykłady. Pierwszy – „Katolicyzm a demokracja” wygłosił Józef Stachurski, drugi „Zasady religijne w życiu polskim” – Tomasz Sobkowiak oraz trzeci „Rodzina jako podstawowa komórka wychowawcza” – profesor gimnazjum Teresa Pokłewska.

Wraz z nastaniem wiosny Kazimierz Michalski często wyjeżdżał poza miasto. Zmuszały go do tego obowiązki dziekana i konsultora diecezjalnego. Dlatego też najczęściej bywał w Gorzowie Wlkp. W liczącej wówczas 44 tysiące kilometrów kwadratowych gorzowskiej administracji apostolskiej było szereg problemów związanych z organizacją życia religijnego. Także pod Zieloną Górą należało zakładać nowe parafie. Należy podkreślić, że ówczesna parafia zielonogórska jako jedna z lepiej zorganizowanych na Środkowym Nadodrzu wniosła pomoc materialną i organizacyjną parafiom sąsiednim. Przekazała im część ksiąg i niektóre szaty liturgiczne. W zbiorce ulicznej przeprowadzonej 18 sierpnia 1946 r. na rzecz organizowanego wówczas Seminarium Duchownego w Gorzowie zielonogórczy nie zajęli pierwsze miejsce w diecezji. Zebrali wówczas 40 000 złotych.

Podczas licznych wyjazdów proboszcza cały ciężar pracy duszpasterskiej i społecznej spadał na barki wikariuszy, dla których ksiądz Michalski był wymagającym przełożonym. Na początku 1946 r. Powiatowy Urząd Bezpieczeństwa Publicznego zmusił do wyjazdu księdza Georga Got-

twalda i pozostałych księży-Niemców. Niebawem do parafii zielonogórskiej przybył ksiądz Antoni Kurzyk, który odszedł do innej parafii w połowie czerwca. Od 1 lipca 1946 r. zastąpił go ksiądz Wojciech Partyga. Dopiero 1 września przybył ks. Bronisław Jagiełło. Powierzono mu opiekę nad kościołem św. Józefa.

Księża wspierały grupy aktywnych parafian. Dla nich osoba proboszcza była niewątpliwym autorytetem. Potrafił on swym zachowaniem zjednać sobie szereg osób, jednocześnie był bardzo stanowczy i wymagający, nie tylko od innych, ale i od siebie. W pierwszej połowie 1946 r. krąg współpracujących z proboszczem znacznie się poszerzył. Szybko rozrastała się, bardzo pomocna w organizacji nabożeństw Sodalicia Mariańska Pań. Pracę charytatywną prowadziło Koło Pań św. Wincentego. Życie religijne ożywiały chór kościelny, który już wówczas był „w zupełności zorganizowany”. 5 maja 1946 r. powstała w parafii pierwsza róża Żywego Różańca Matek, a niebawem także róża Żywego Różańca Panien. 31 maja powołano Sodalicię Mariańską Panów. 23 czerwca powstało pierwsze koło Katolickiego Stowarzyszenia Młodzieży Zeńskiej. W lipcu ks. Kazimierz Michalski zakończył organizację koła ministrantów oraz Krucjaty Eucharystycznej Dziewcząt i Chłopców. Zawiązywana w szkołach, liczyła około 200 dzieci.

Wielką rolę w organizacji życia parafialnego, zwłaszcza w zakresie materialnego wsparcia parafii, odegrała rada parafialna. Ona zajmowała się gromadzeniem środków i kierowaniem pracami porządkowo-budowlanymi. Na wniosek księdza Michalskiego powołał ją 26 maja 1946 r. ks. administrator apostolski. Przewodniczącym rady wybrano organizatora i późniejszego wiceprezesa Sądu Okręgowego Józefa Stachurskiego. Członkami rady zostali: pierwszy burmistrz Zielonej Góry Tomasz Sobkowiak, kupiec Mieczysław Dzieciuchowicz, lekarz dr Władysław Pręgowski, naczelnik poczty Jan Grelus, mistrz ślusarski Roman Pietrzyński, urzędnik kolejowy Kazimierz Jarczyński oraz robotnik Władysław Sitarski.

Szczególnie uroczystość zorganizowano pierwszą powojenną procesję Bożego Ciała. Po uroczystej mszy św. tłum wiernych, liczący kilkanaście tysięcy zielonogórczy, przeszedł ulicą Kościelną na Rynek i wrócił do kościoła ulicą Żeromskiego i Mickiewicza. Ważnym elementem budowy wspólnoty parafialnej było przygotowanie procesji i ołtarzy. Pierwszy ołtarz ufundowało miejscowe Zrzeszenie Kupców, drugi burmistrz Sobkowiak, trzeci – pracownicy Zarządu Miejskiego, a czwarty Związek Rzemieślników. Role porządkowych pełnili członkowie zielonogórskiej straży pożarnej. Oni też nieśli baldachim. Tuż za baldachimem szli najwyżsi przedstawiciele władz powiatowych i miejskich. Znacznie skromniejsza procesja została zorganizowana przy kościele pw. św. Zbawiciela. Tutaj pierwszy ołtarz zorganizowała młodzież szkół powszechnych, drugi – zielonogórczy kolejarze, trzeci – pocztowcy, a czwarty – młodzież gimnazjalna.

Niewątpliwie symboliczny, religijno-patriotyczny wymiar miała procesja eucharystyczna ku czci Najświętszego

Serca Jezusowego. Zorganizowano ją 28 czerwca 1946 r. Przeszła ona z kościoła pw. św. Jadwigi do kościoła Zbawiciela. Na skrzyżowaniu ulicy Pionierskiej (Kupieckiej) i Żeromskiego został ustawiony wielki ołtarz. Przed nim odczytano akt ofiarowania parafii. Rozpoczął on cykl nabożeństw mających charakter modlitw za Ojczyznę. 15 sierpnia udała się do Gorzowa 35 osobowa delegacja parafii po to, aby wziąć udział w uroczystości obchodzoną święcie Wniebowzięcia NM Panny. Również tam, w katedrze gorzowskiej odczytano akt ofiarowania diecezji Niepokalanemu Sercu Marii. Podobne nabożeństwo kończące nowennę ksiądz proboszcz Michalski zorganizował również w Zielonej Górze. Kolejne uroczystości z tego cyklu odbyły się 8 września. Na zorganizowanym wówczas nabożeństwie i uroczystych mszach św. modlono się o pomyślność dla całej Polski. Szczególnie odświętnie udekorowano budynki w centrum miasta. Na uroczystości zebrały się tłumy parafian. Podczas tego nabożeństwa poświęcono figurę Matki Bożej, usytuowaną w narożniku, na zewnątrz kościoła św. Jadwigi. Ufundowała ją Sodaliczka Mariańska Pań.

Już w styczniu 1946 r. ksiądz Kazimierz Michalski rozpoczął organizację „Caritas”. W tym celu parafia przejęła budynek byłego Domu Ewangelickiego, który miał stać się jego siedzibą. Pierwsze koło parafialne „Caritas” powstało 19 lipca 1946 r. W końcu tego roku organizacja ta liczyła około 500 członków. Stałe służby w tej organizacji objęły siostry służebnice Najświętszej Marii Panny przybyłe w tym celu z Pleszewa do Zielonej Góry. Swoją dom zakonny urządziły w budynku byłego mieszkania pastora przy jeszcze wówczas nieczynnym kościele św. Józefa.

Już od 12 grudnia 1945 r. funkcjonowało przedszkole parafialne pw. św. Jadwigi. Prowadziły je elżbietanki. 1 września 1946 r. otwarto drugie przedszkole parafialne pw. św. Józefa. Opiekę nad nim przejęły Siostry Służebnice. Także wówczas poświęcono uroczystości kościół św. Józefa. Kulminacyjnym punktem działalności zielonogórskiego „Caritasu” w 1946 roku był Tydzień Miłosierdzia obchodzony pod hasłem „Caritas w trosce o dziecko”. Rozpoczęto go 6 października. W ramach obchodów Tygodnia otwarto kuchnię dla ubogich, a dla szczególnie potrzebujących zebrano datki i odzież. Oprócz trudnych do wartościowego oszacowania darów rzeczowych, zebrano wówczas 32 000 złotych. Była to pokaźna kwota, którą przeznaczono dla kuchni. Część funduszy pozyskano dzięki zorganizowaniu w Domu Katolickim – jak wówczas mawiano – „popisów”. Były to przedstawienia, w których główne role odgrywali dzieci i młodzież szkolna. Podobne „popisy” urządzono także w przedszkolach. Sobotę uczestnicy akcji poświęcili dzieciom chorym. Młodzież chodziła do mieszkań i szpitali i obdarowywała ich upominkami. Po południu we wspomnianym Domu Katolickim zorganizowano „podwieczorek” dla biednych dzieci. Tydzień Miłosierdzia zakończono w niedzielę mszą św. i uroczystą akademią.

Niebawem nadszedł Dzień Zaduszny. 2 listopada w kościele parafialnym ksiądz Kazimierz Michalski celebrował mszę św. egzekwialną za więźniów politycznych, jak sam

zapisał, „wymordowanych w więzieniach i obozach politycznych”. Zorganizował także uroczystą procesję na cmentarz przy obecnej ulicy Wazów.

Ostatnie miesiące drugiej połowy 1946 r. upłynęły księdzu Michalskiemu na przygotowaniach do remontów. 17 listopada rozpoczął on prace nad odnowieniem kaplicy Ogrójcowej. W celu pozyskania odpowiednich funduszy zorganizował loterię fantową. Została ona rozpowszechniona i przeprowadzona przez Sodaliczkę Mariańską Pań. Losowanie wygranych z loterii odbyło się 15 grudnia. W międzyczasie Stefan Słocki wykonał kopię obrazu Matki Boskiej Ostrobramskiej, a rzeźbiarz Cieślik wytłoczył metalową sukienkę według „wzoru wileńskiego”. Kaplicę ponownie zabezpieczono przed wilgocią i przemalowano. Została ona oddana do użytku 22 grudnia. W bocznym ołtarzu Matki Boskiej Wniebowziętej, obok kaplicy Ogrójcowej umieszczono obraz św. Teresy, ufundowany przez różę Żywego Różańca.

Już w czerwcu rozpoczęto prace renowacyjne kościoła poewangelickiego przy placu Wielkopolskim. W celu podkreślenia „polskości” nowy kościół otrzymał wezwanie Matki Bożej Częstochowskiej. Obraz Czarnej Madonny przeznaczony na ołtarz główny został ufundowany przez Sodaliczkę Panów. Podobnie jak poprzednio, replikę obrazu jasnogórskiego namalował Stefan Słocki, suknię wykonał Cieślik. Uroczyste poświęcenie nowego kościoła zorganizowano 1 grudnia. Uświetnił je chór chłopięcy, ćwiczący w Domu Katolickim. W uroczystości brali udział przedstawiciele władz powiatowych. Ponieważ ksiądz proboszcz zamierzał przeznaczyć nowo otwierany kościół dla dzieci ze szkół powszechnych, zaproszono również przedstawicieli władz szkolnych.

Uroczystość przyspieszono o tydzień, jak zapisał ksiądz Michalski, „z powodu zakusów zabrania organów zabytkowych z tego kościoła do oo. Franciszkanów”. Zgodnie z ówczesną praktyką władz wojewódzkich w Poznaniu szczególnie wartościowe zabytki kultury materialnej były zbierane i najczęściej wywożone do muzeów i bibliotek poznajskich w celu poddania ich renowacji. Wspólnie z władzami muzealnymi o przekazanie organów zwrócił się do władz miejskich, które wówczas administrowały budynkiem kościoła, poznański dom zakonu franciszkanów. Władze miejskie Zielonej Góry wyrażały swój sprzeciw, ale decyzja należała do urzędników szczebla wojewódzkiego. Poświęcenie kościoła uznawane było wówczas jako zwyczajowe, zresztą zgodne z prawem kanonicznym przekazanie obiektu w skład majątku parafialnego.

Kolejna msza św. pasterska w Zielonej Górze, celebrowana 24 grudnia 1946 r. była już mniej uroczysta. Już wówczas odprawiano trzy msze św., w kościele pw. św. Jadwigi i kościele Zbawiciela oraz w Raculi. 31 grudnia 1946 r., po uroczystości otwarcia czytelnicy i biblioteki w Domu Katolickim ksiądz proboszcz Kazimierz Michalski zapisał, że w ciągu ubiegłych 12 miesięcy udzielił 891 chrztów, 506 ślubów i 289 pogrzebów. Z tej statystyki wynikało, że Zielona Góra będzie miastem pełnym młodzieży.

W latach 70. Zielonogórska Książnica im. C. Norwida pozyskała cztery numery nie notowanego w bibliografiach pisma wychodzącego w Zielonej Górze w 1946 r. Pismem, a raczej pisemkiem tym są „Wici Naszego Hufca” – Dwutygodnik wewnętrzny Komendy Hufca Harcerzy w Zielonej Górze.

„Wici Naszego Hufca”

Zielonogórskie pismo harcerskie z 1946 roku

Zachowane numery periodyku o wymiarach 29,7x21 cm wykonane zostały na powielaczu spirytusowym. Pismo nie jest datowane, a kolejne numery zaznaczono na kartach tytułowych odręcznie. „Wici” zapoczątkowuje numer podwójny 1/2, wydany przed 1 września 1946 r., co wynika z zamieszczonego w nim rozkazu Komendy Hufca wyznaczającego na ten właśnie dzień odprawę drużynowych. Treść numeru podwójnego rozpoczyna gawęda na temat pierwszego punktu prawa harcerskiego. Punkt drugi prawa omawiany jest w numerze kolejnym, który jako nr 3 określony został w „Kąciku filatelistycznym” na s. 8. Wynika z tego, że numer podwójny należy traktować jako zapoczątkowujący pismo, które zdecydowano się wydawać z początkiem roku szkolnego i harcerskiego 1946/1947. W nr. 3 rozkaz Komendy Hufca nosi datę 27.9.46.

O ile podwójny numer „Wici” był numerem na wrześnię, to z kolei nr 3, gdy uwzględnimy dwutygodniową częstotliwość pisma, odpowiada chronologicznie pierwszym dwóm tygodniom października, natomiast ostatni z zachowanych numerów (bez oznaczenia kolejności) był niewątpliwie numerem 4. Omawia się w nim trzeci punkt prawa harcerskiego, a ponadto w komunikatach na s. 11 wyznacza datę „25 bm.” (bez wątpienia 25 października 1946 r.) jako termin zgłoszeń do prac introligatorskich. Zachowane numery pisma wykazują więc chronologiczną ciągłość i obejmują okres: nr 1/2: 1-30 września, nr 3: 1-15 października, nr 4: 16-31 października 1946 r.

Czy nr 4 był równocześnie ostatnim? Na to pytanie nie potrafimy odpowiedzieć. Wprawdzie zamieszczono w nim apel w sprawie niezwłocznego dokonania wpłat za pobrane numery „Wici”, gdyż brak gotówki utru-

dniał „administrowanie pisemka”, jednak na tej tylko podstawie nie można wnioskować o jego zawieszeniu.

Objętość „Wici” wykazuje drobne różnice. Nr 1/2 składa się z 11 kart powielanych jednostronnie na papierze kredowanym stanowiącym poniemiecką makulaturę. Nr 3 liczy 12 stron, natomiast nr 4 stron 11. Ostatnie dwa numery pisma powielone zostały na niskiej klasy papierze drzewnym, z wyjątkiem ostatniej karty w numerze 4, użytej wtórnie (makulatura).

Odpowiednio z papieru kredowanego i drzewnego wykonane zostały również karty z powielaną tytulaturą pisma, nie wliczone do paginacji. Karty tytułowe skomponowane zostały w dwóch wersjach graficznych. W wersji pierwszej tytuł pisma wykonany został z elementów w formie stylizowanych odcinków gałązek (słowa „WICI” i „HUFCA”) oraz wykaligrafowany majuskulną antyką (słowo „NASZEGO”) i minuskulą – podtytuł. Całość tytulatury występuje na tle konturów harcerskiej (andegawiejskiej) lilii. W prawym górnym narożu umieszczono nr „ślepy” z dopisanym ręcznie oznaczeniem liczbowym 1-2. W wersji drugiej (nr 3 i 4) w strefie górnej karty tytułowej występują dwie lilie w układzie poziomym, natomiast w strefie dolnej – elementy tytulatury. Obie wersje wykonane zostały techniką punktową, obie sygnowane są pseudonimem „Ruta”.

Treść „Wici”, ze względu na ich zakres, określić można jako typową dla tego rodzaju pisemka. W całości wiąże się z problematyką harcerską: charakterystycznymi dla tego okresu, ideowo-wychowawczymi podstawami ZHP, życiem wewnętrznym hufca, wdrażaniem umiejętności obozowo-terenowych oraz popularyzacją gier harcerskich.

Każdy numer pisemka otwiera gawęda – o wyraźnych tendencjach pedagogicznych – na temat jedne-

go z punktów prawa harcerskiego. Aspekty wychowawcze i patriotyczne występują również w artykułach „Wielka dywersja” (o walce Szarych Szeregów) i „Co możemy zrobić dla Ojczyzny” oraz w krótkich opowiadaniach: „Coś o harcerzach” i „Ojciec jest”. W „Wiciach” nie zabrakło artykułu o Andrzeju Małkowskim, pionierze harcerstwa, zapoczątkowano także cykl życiorysów patronów drużyn. „Gry skautowe”, „Rozkazy komendanta hufca”, „Wesoły kącik”, to stałe rubryki pisemka. Jego treść uzupełniają teksty piosenek, sporadycznie publikowane komunikaty, a w nr. 3 „Kącik filatelistyczny”. Z obszerniejszych relacji dotyczących życia hufca wymienić można tylko jedną – artykuł „Jak było w Krośnie”, omawiający udział 150 harcerzy i harerek zielonogórskiego hufca w uroczystości poświęcenia sztandaru pułkowego WOP w Krośnie, ufundowanego przez Ziemię Lubuską, w której wzięli udział generałowie Marian Spychalski i Władysław Korczyc.

Nieco informacji na temat zielonogórskiego hufca dostarczają nam kolejne rozkazy p.o. hufcowego, Tadeusza Światły. W 1946 r. Komenda Hufca mieściła się początkowo przy ul. Stalina 10 (obecnie al. Niepodległości), a od 1 września przy ul. Zielonej 11. Odprawy drużynowych odbywały się w każdą pierwszą niedzielę miesiąca. Z dniem 15 września 1946 r. p.o. hufcowym mianowany został phm. Tomicki. Komenda Hufca przystąpiła do organizacji orkiestry smyczkowej, dętej oraz pracowni zabawek i pracowni introligatorskiej. Tej ostatniej w związku z tym, że Zaodrzańskie Zakłady Budowy Mostów i Wagonów zwróciły się do Komendy Hufca z propozycją oprawienia dużej ilości książek. Warto dodać, że w tym czasie nie działała jeszcze w Zielonej Górze żadna biblioteka publiczna (Biblioteka Miejska otwarta została 3 maja 1947 r.). Księgozbiór obecnego „Zastalu” należał więc w tych pionierskich czasach do największych w mieście. Nieliczne informacje rzeczowe zawarte w „Wiciach” uzupełnia kilkadziesiąt nazwisk pionierów lubuskiego harcerstwa wymienionych w rozkazach komendanta hufca zatwierdzających zdobyte sprawności.

Reasumując, należy stwierdzić, że wartość poznawcza „Wici” jest niewielka. Sporo zastrzeżeń nasuwa poprawność językowa pisemka. Obok potknięć stylistycznych i gramatycznych występują proste błędy językowe. W swoisty sposób dały znać o sobie skutki wojny – wieloletnie oderwanie młodzieży od nauki.

Nie znamy składu redakcyjnego „Wici”, jak również nazwisk autorów tekstów, którzy kryją się pod pseudonimami. Skromne możliwości zielonogórskich harcerzy zdecydowały o poziomie graficznym pisem-

ka. Tekst nie zawsze jest należycie czytelny, a nieliczne rysunki – schematyczne.

Czy wobec tego „Wici” uznać należy za zupełnie nieistotną pozycję bibliograficzną? Przy wszystkich swoich brakach rzeczowych i formalnych, nowo odkryte pismo jest dokumentem repolonizacji ziem nowo odzyskanych, repolonizacji podjętej przez środowisko harcerskie na miarę posiadanych środków i własnych możliwości. I na tym polega wartość „Wici Naszego Hufca”.



Zwracam się z apelem do harcerzy-pionierów o uzupełnienie tego artykułu o dodatkowe informacje dotyczące redagowania pisma, jego kolportażu oraz autorów artykułów. Czy zachowane numery pisma stanowią jego komplet, czy też wydano dalsze? Za informacje przekazane redakcji „Pionierów” z góry dziękuję.

Bibliografia: G. Chmielewski: *Mało znane zielonogórskie pismo harcerskie*, Przegląd Lubuski 1982, nr 1, s. 87-91.

Grzegorz Chmielewski

W artykule G. Chmielewskiego „Państwowe Zakłady Graficzne w Zielonej Górze jako drukarnia dzielowa” (1998 nr 1) opuszczenie w druku jednego wiersza tekstu zmieniło istotny sens zdania na s. 5, szp. 2, w 4 od góry, które podajemy w poprawnym brzmieniu:

Do pierwszych należy K. Simma „Zoologia dla przyrodników i rolników”, podręcznik ilustrowany ponad 770 rycinami, opublikowany nakładem Księgarni Akademickiej w Poznaniu, do drugich – liczący 8 tomów „Przewodnik Włóknarza”, wydany z inicjatywy Naczelnego Inspektoratu Przemysłu Włókienniczego w Łodzi.



Członkowie Stowarzyszenia Pionierów Zielonej Góry zmarli w okresie 1998 r.

- | | |
|--------------------------|---------------|
| 1. Dudziak Józef | 27.03.1998 r. |
| 2. Sikora Władysław | 30.03.1998 r. |
| 3. Skubiszewska Marianna | 18.04.1998 r. |
| 4. Ertnerowa Janina | 23.04.1998 r. |
| 5. Lehman Zofia | 16.05.1998 r. |

Wspomnienia i relacje KIEDY MYŚLĘ OJCIEC

Szare i mozolne początki życia muzycznego
w Zielonej Górze

Kiedy niemal tuż za przechodzącymi przez nasze miasto żołnierzami wojsk radzieckich mój ojciec Roman Mazurkiewicz przyjechał z misją organizowania w Zielonej Górze życia przesiedleńczego, zastał wiele pustych domów zawalonych śmieciami i rupieciami.

Organizować życie osobiste i administracyjne od podstaw w tamtych czasach był to nie lada wyczyn dla wielu Polaków przybywających na tereny pozbawione jakiegokolwiek władzy i porządku.

Wbrew wszelkim trudnościom stopniowo poprawiała się sytuacja życia mieszkańców, mimo że każdy wtedy myślał nie o innych sprawach niż zapewnienie sobie i najbliższemu bytu i dachu nad głową. A jednak.

Historia ruchu muzycznego w powojennej Zielonej Górze jest nieomal tak dawna, jak dawna jest obecność pierwszych polskich osadników w tym mieście. Zaledwie bowiem udało się z grubsza uporządkować najpilniejsze zagadnienia gospodarcze, administracyjne i osobiste, zaledwie ochłonięto nieco z różnych przeżyć i tragedii wojennych, znalazła się grupka ludzi, którzy swoje muzyczne pasje zapragnęli kontynuować koncertując dla szerszego grona.

Już wczesną wiosną 1946 roku grupa około 50 osób zebrała się, aby radzić nad stworzeniem własnego zespołu symfonicznego. Zebranie odbyło się w Starostwie Powiatowym, a inicjatorami tego pierwszego porwy muzycznego byli m.in.: Paweł Stróżyk, Alojzy Kapała, Stanisław Litwin, Michalina Józwiakowa oraz Roman Mazurkiewicz, muzycy zasiadający w późniejszym okresie przy pulpitych orkiestry przez wiele jeszcze lat.

Niestety, ten pierwszy i wiele obiecujący poryw skończył się tylko na zamiarach. Zdominowały go sprawy bardziej przyziemne, kłopoty osobiste, zarobkowe, domowe, a także publiczne i społeczne. W takich warunkach sprawy kulturalne, a już szczególnie muzyka, naturą rzeczy musiały odejść na dalszy plan.

Dla Ojca był to okres wytężonej pracy społecznej i organizacyjnej. Jako wice-starosta często wracał późną nocą do domu, aby wcześniej rano stawiać się znowu na kolejnym „ważnym” zebraniu lub odwiedzić miejscowości w powiecie. Późniejsze zawirowania i bolesne przeżycia w ubeckim więzieniu wydawało się, że wyeliminują Go z czynnego życia. Nie na długo jednak. Chęć kontaktów ze światem muzyki tkwiła w osobowości, chyba

wszystkich muzyków, na tyle, że nie ustawiano w dążeniach do stworzenia w Zielonej Górze muzycznej instytucji.

Nieco poważniejszy krok ku uaktywnieniu żywej myśli muzycznej zanotowano w 1950 roku, kiedy to ze sceny Teatru Ziemi Lubuskiej zaprezentował się zespół orkiestry w obsadzie – jak to pisał mój Ojciec – „salonowej wiedeńskiej” pod batutą Pana Migaszewskiego, ówczesnego właściciela Szkoły Muzycznej im. M. Karłowicza.

Nader udany koncert nie wzbudził jednak szerszego zainteresowania muzyką wśród społeczeństwa. Po raz kolejny muzycy zapadli w odrętwienie, jednak myśl o koncertach nie przestawała zaprzątać myśli i dążeń zwolenników muzyki symfonicznej. O utworzeniu zespołu symfonicznego mówiono także wtedy, gdy Zielona Góra stała się siedzibą województwa (w 1950 r.). Jednak dopiero z początkiem roku 1954, dzięki pomocy Okręgowej Rady Związków Zawodowych w Zielonej Górze odżyła, wydawało się już że na dobre, inicjatywa utworzenia orkiestry.

22 stycznia 1954 r. w świetlicy „Polskiej Wełny” odbyło się pierwsze konstytucyjno-organizacyjne zebranie orkiestry. Obecnych na zebraniu 14-tu muzyków zadeklarowało swój czynny udział w tworzącej się jednostce, a pierwszym prezesem stowarzyszenia „Orkiestra Symfoniczna” (tak brzmiała oficjalna nazwa nowej instytucji) wybrano Romana Mazurkiewicza.



Niedługo potem, bo 14 marca tegoż roku, w sali Teatru, orkiestra pod batutą pierwszego dyrygenta Jana Kiernatowicza wystąpiła ze swym pierwszym porankiem symfonicznym, a w programie zagrano m.in.:

- Tańce góralskie z opery „Halka” Stanisława Moniuszki,
- Mazura i arie Stefana z opery „Straszny dwór”,
- Uwerturę „Egmont” Beethovena.

Wydawałoby się, że pierwsze lody zostały przełamane, ale i tym razem muzycy nie doczekali się reakcji i pomocy ze strony władz. Ta obojętność, a także kłopoty natury lokalowej i finansowej, działały na muzyków nader przygnębiająco i ostudziły na tyle zapał do dalszej pracy, że postanowiono po półrocznej działalności zawiesić dalszą pracę w orkiestrze. Należy dodać, że była to praca społeczna. Tym samym skończył się jakby pierwszy etap – czas prób i pracy nad stworzeniem zielonogórskiej orkiestry symfonicznej.

Oficjalnie pod datą 24 stycznia 1956 roku, kiedy to miało miejsce kolejne zebranie organizacyjne orkiestry zwołane przez Wydział Kultury WRN, rozpoczyna swoją działalność ówczesna Orkiestra Symfoniczna, przekształcona z czasem w Filharmonię Zielonogórską. Do muzyków, którzy kilkakrotnie próbowali stworzyć tę jed-



nostkę, dołączyli tym razem nauczyciele z Państwowej Szkoły Muzycznej. Wszystkich obecnych na tym zebraniu postanowiono uznać za członków – założycieli. Rzeczą nader pocieszającą było uzyskanie dotacji z Prezydium WRN, która chociaż z grubsza zapewniała Orkiestrze Symfonicznej jako taki start i byt materialny. Dyrygentem nowej, jakby zreformowanej orkiestry, został nauczyciel ze Szkoły Muzycznej – Władysław Tomaszewicz, sekretarzem wybrano Władysława Marfiewicza – wizytatora szkół artystycznych i również nauczyciela ze Szkoły Muzycznej, zaś prezes pozostał dotychczasowy – czyli Roman Mazurkiewicz. I tak po uchwaleniu regulaminu pracy i wybraniu Rady Artystycznej postanowiono od 5 lutego rozpocząć regularne ćwiczenia, a koncert inauguracyjny ustalono na 29 maja 1956 r.

Innym muzycznym wydarzeniem pierwszych powojennych lat Zielonej Góry jest historia hejnału zielonogórskiego. Kiedy w 1949 roku Pan Piotr Kłuciński zwrócił się z propozycją napisania muzyki do słów Jego Hymnu



Ziemi Lubuskiej, Ojciec bez namysłu przyjął to „zlecenie” i już w rok później Hymn usłyszeli zielonogórzanie podczas święta Winobrania.

Jednak losy zielonogórskiego hejnału to burzliwa historia. Skomponowany jako melodia na chór mieszany a cappella, śpiewany przez liczne zespoły chóralskie wzbudzał różne kontrowersje, mimo wydanej przez Ministerstwo Kultury i Sztuki w 1954 roku pozytywnej oceny tego utworu: „...utwór napisany poprawnie, całość bardzo dobrze brzmi w zespole mieszanym, prowadzenie głosów dobre, jasne, przekonujące, hymn jest istotnie poważny, dostojny...”. Przez kilka następnych lat trwał zatarg między okręgowym wizytatorem szkół muzycznych w Zielonej Górze a moim Ojcem co do jego rozpowszechniania. W roku 1955 ówczesne zielonogórskie władze zakazały wręcz grania i śpiewania tej melodii przez chóry. Wszyscy instruktorzy muzyczno-chóralski dostali odpowiednie ostrzeżenie przed – jak to mówiono – „pozbawionym wszelkich wartości artystycznych” utworem. Nie wszyscy jednak dostosowali się do tego zakazu. W Szkole Podstawowej nr 9 przy ulicy Strzeleckiej chór prowadzony przez nauczycielkę muzyki, Panią Szpila, jako jedyny miał w swoim repertuarze właśnie tę melodię. Oczywiście śpiewałam w tym chórze i jestem niezmiernie wdzięczna mojej nauczycielce za ten wręcz heroiczny, jak na tamte czasy, czyn. Ona jedna nie ugięła się przed zakazem, który miał charakter polityczny ze względu na przeszłość mojego Ojca.

Na szczęście przyszedł rok 1956 i walka o hejnał powoli wyciszała się. W latach 60-tych nieśmiało zaczęto grać go podczas dni Zielonej Góry i Winobrania, a od kilku lat jego pierwsze akordy rozbrzmiewają codziennie o godzinie 1200 z wieży zielonogórskiego ratusza. Hejnał wrósł już swoim brzmieniem w szum ulic i życie miasta. Zwyciężył także zły czas. Dla mnie stał się także refleksją nad małością ludzi i wielkością mojego pedagoga muzyki Pani Leokadii Szpila.

Mówi się, że muzyka łagodzi obyczaje i wzbogaca życie duchowe, a ja dodam, że muzyka mimo wszystko integrowała społeczność naszego miasta w tych trudnych powojennych latach.

Zdzisława Kraśko

Garść osobistych, luźnych wspomnień o początkach oświaty rolniczej w Zielonogórskim

NIE MARNOWALIŚMY CZASU

W grudniu 1949 przeniesiono nas służbowo z Dwumizowej Szkoły Rolniczej w Buszewie – Szamotulskie (zostaliśmy co dopiero zaangażowani przez Poznań) do Szczawnicy k. Świebodzina, miejscowości, która w podziale administracyjnym roku 1950 znalazła się w obszarze woj. zielonogórskiego. Mężowi powierzono zorganizowanie 11- miesięcznej Szkoły Praktyków Specjalistów Trzody Chlewnej dla pracowników powstających PGR-ów i spółdzielni produkcyjnych i kierowanie nią. Nauka trwała nieprzerwanie od 15 stycznia do 15 grudnia.

Dziś już nie pamiętam, ilu mieliśmy uczniów, ale dużo, przeważnie mężczyzn (były tylko 4 słuchaczki), ale pamiętam, że byli i starsi od nas, żonaci, posiadający rodziny, dzieci. Przeważająca większość widziała w ukończeniu szkoły możliwość swobodnego awansu życiowego, zapewnioną pracę w zmieniającej się rzeczywistości. Oboje z mężem mile wspominaliśmy ten pierwszy rok i pamiętam, że nawet pojechalibyśmy w odwiedziny do jednego słuchacza, ojca czwórki dzieci.

Przez ten rok gospodarstwo szkolne, małe, liczące niespełna 30 hektarów, ukierunkowano właśnie na hodowlę trzody. Uczniowie wyremontowali chlewnię, zbudowali okólniki, założyli hodowlę, wkrótce jednak likwidowano kierunek i zastąpiono go Szkołą Rachunkowości Rolnej, również 11-miesięczną, ale tym razem żeńską. Wspomnienia o tej szkole są jak senny koszmar. Ówczesna „Służba Polsce” werbowała kandydatki według rozdzielnika i przywożono nam dziewczęta z całej Polski. Znalazła się wśród nich chora umysłowo, której rodzice nie chcieli z powrotem przyjąć i dopiero interwencja milicji poskutkowała. Była też „córka Koryntu”, która oczywiście rozpoczęła swoją profesję w Szczawnicy, a wydalona ze szkoły (po interwencji licznych żon i matek) oskarżyła nas w partii i zamiast jej, sądzono nas – tylko za co? Nikt naprawdę nie wiedział. W większości były to jednak sympatyczne dziewczęta, pilne, pracowite, a choć w wielu przedmiotach miały ogromne braki, to robiły wszystko, aby je nadrobić. Te właśnie uczennice stanęły w naszej obronie i konsekwentnie doprowadziły do wyrzucenia wspomnianej wyżej osoby. Wiele z nich pracowało potem jako dobre księgowie. Jedną z absolwentek, Zosi Domańska, po ukończeniu szkoły za-

angażowana została jako księgowa w Technikum Rolniczym w Bobowicku i tu przepracowała całe swoje zawodowe życie. Od kilku lat jest na emeryturze i nadal mieszka w miejscu swojej wieloletniej pracy.

Szkola istniała tylko do 15 grudnia 1951 r., potem gospodarstwo i budynek przejęła założona we wsi spółdzielnia produkcyjna. Nas już 1 IX przeniesiono do Hłowej koło Żagania, do istniejącego tam 4-letniego Technikum Ogrodniczego. Pięć lat pobytu tam i pracy w szkole wiąże się z ukończeniem przeze mnie studiów polonistycznych, z niezwykle trudną pracą męża na stanowisku dyrektora, ale także z najmiłszymi wspomnieniami.

Szkola liczebnie była bardzo duża, bowiem dostało nam młodzież z likwidowanych w Polsce techników ogrodniczych w Słupsku, Drawsku, z Technikum Winiarskiego w Zielonej Górze oraz z Technikum Ogrodniczego w Białymstoku i o młodzieży z tego właśnie miasta muszę parę słów napisać.

Była to młodzież niezwykle uzdolniona. Miałam wychowawstwo klasowe, a w klasie: najlepszy duet (Tereska i Marysia), najlepszą recytatorkę (Helenka), mały chór, zespół taneczny, a przede wszystkim najlepszych uczniów w szkole: Zdzisiek, Wandzia, Halinka, Anka i wielu innych. Klasa pod względem średniej ocen była najlepsza w szkole. Ośmioro z miejsca dostało się na studia na SGGW w Warszawie (i ukończyło), co w czasach limitowanych na uczelni miejsc było ewenementem. Zresztą w szkole było wiele talentów „artystycznych”, na przykład nadworny pianista Andrzej, wspaniały recytator Włodek (wieloletni potem aktor Teatru im. Osterwy w Lublinie), „dyrygent” chóru – imienia niestety nie pamiętam – świetnie tańczące Elżunia, Hanka, Paulina...

Szkoda, że nie zachowała się kronika szkoły z lat 1951-1956, w niej bowiem, odpowiedzialna za tzw. dział świetlicowy, zapisywałam wszystkie sukcesy, wyjazdy i występy. Są też wśród moich uczniów absolwenci polonistyki – Kazia i Jasiu!



Hłowa, wiosna 1956 roku. Na zdjęciu wychowawczyni kl. III technikum Irena Glińska ze swoimi wychowankami.

Ale najważniejsze było kształcenie zawodowe. Szkoła miała 5000 m kw. pod szkłem, duży ogród warzywny, 15-hektarowy park i małe gospodarstwo rolne. Wszystkie prace wykonywali uczniowie ucząc się praktycznego zastosowania teorii, a co najważniejsze, po prostu uczyli się z tak ogromnym zapalem, jakiego potem już właściwie nie spotkaliśmy, jedynie w wyjątkach, nie w masie. Chętni do każdej pracy, potrafili na przykład w roku 1952 pozostać po maturze jeszcze przez tydzień w szkole, by oczyścić okalającą zamek-szkolę fosę z poszpitalnych odpadów (do roku 1948 mieścił się tu szpital radziecki). I tyle było różnych przeżyć! Na przykład miał w nocy zakwitnąć w szklarni „kwiat jednej nocy”. Zamiłowani ogrodnicy



Iłowa, wiosna 1953 roku. Grupa uczniów technikum, w środku dyr. Czesław Gliński, z dłonią na barku autorka – Halina Glińska

„kwaciarze” z Edkiem na czele czekali na to wydarzenie. I doczekali się! Cóż to była za radość! Dziś o tym wydarzeniu przypomina zrobione wówczas przez męża zdjęcie.

W latach naszego pobytu w Iłowej było biednie – biedni byli uczniowie, ale również biedni byli nauczyciele. Z trudem wiązano przysłowiowy koniec z końcem, a jeśli rodzina była wielodzietna, w której matka nie pracowała (mieliśmy taką), to przeżycie do 1-go, czyli do następnej wypłaty, było naprawdę swoistą ekwilibrystyką. I jeszcze z innej racji bywało ciężko.

Penetracja środowiska uczniowskiego (i nauczycielskiego) przez SB – przy cichej pomocy niektórych pedagogów – nierzadko powodowała uczucie zagrożenia. Dziś, po wielu latach, przy okazji spotkań lub korespondencji z absolwentami dowiadujemy się szczegółów: o zmuszaniu do współpracy, do donosicielstwa, do oskarżania niewinnych, co w kilku przypadkach skończyło się nawet aresztowaniem po maturze i umieszczaniem delikwentów w nieludzkich warunkach.

Ale było, minęło, a sprawców tych ohydnych po-

czyniań nie ma już wśród żyjących, lecz również niektóre z ofiar odeszły przedwcześnie do Pana.

Na trzy lata opuściliśmy Zielonogórskie, na własną prośbę przenieśliśmy się do Technikum Hodowli Roślin w Bojanowie (Poznańskie), do macierzystej szkoły męża, by w roku 1959 powrócić, zachęceni i wręcz nalegani przez ówczesne władze oświatowe (wizytator Wojciech Próchnicki) do „swojego” województwa.

Mąż objął Technikum Rolnicze w Bobowicku koło Międzyrzecza i tu mieszkamy do dziś, już od kilkunastu lat na emeryturze. Mąż może się w tym miejscu poszczycić najdłuższym, bo 17-letnim stażem na stanowisku dyrektora tegoż technikum. Bobowicko znajdowało się wówczas jeszcze w obszarze woj. zielonogórskiego, dopiero po podziale znalazło się w woj. gorzowskim.

Na czas dyrektorowania męża przypada ogromny rozwój szkoły: wybudowano dwa domy mieszkalne, budynek szkolny, powiększono gospodarstwo szkolne. Zresztą wszystkie szkoły rolnicze w Polsce wspólnie prosperowały w czasach, w których dyrektorem Departamentu Oświaty Rolniczej przy Min. Rolnictwa była niezwykle mądra, energiczna, zmarła przed kilkoma laty Maria Parasiak. Dopiero po jej odejściu na emeryturę na stanowiskach kierowników Oddziału Oświaty Rolniczej w województwie znaleźli się nieudacznicy z klucza partyjnego, często bez wykształcenia wyższego (NOT-owski tytuł inż.), grający rolę panów i władców szarej braci nauczycielskiej (był taki też w Zielonej Górze), a funkcję wizytatorów obejmowali ludzie zupełnie bez doświadczenia pedagogicznego, na przykład bezpośrednio po studiach. Odbiło się to na pracy szkół, objawiło się wciąganiem uczniów przez nieodpowiedzialnych pedagogów do osobistych rozgrywek, do tolerowania zła a niszczenia zapалу i ofiarności dobrych nauczycieli. Ale i to minęło.

Patrząc na swoją 39-letnią pracę w oświacie (brałam udział w czasie wojny jako młoda wówczas dziewczyna w tajnym nauczaniu), dystansując się od doświadczonego zła, ze smutkiem stwierdzam, że wiele na pewno niezwykłych zdarzeń umknęło z pamięci. Ale jest wiele tak w niej zakodowanych, że można by dziś niejedną kartę zapisać. Współpracowaliśmy z wieloma nauczycielami, z wieloma instytucjami, ogromnie dużo pracowaliśmy społecznie, bezinteresownie, co zabierało nam mnóstwo czasu oczywiście kosztem życia rodzinnego. Ale pozostała satysfakcja, że nie zmarnowaliśmy czasu, a co więcej, nieznana nam była zupełnie pogoń za pieniądzem, cecha dnia dzisiejszego.

Halina Glińska, Czesław Gliński

HISTORIA Z RODZINNEGO ALBUMU

Pasja historyka i archiwisty sprawia, że dużo czasu poświęcam historii Zielonej Góry, zarówno tej pisanej przez Polaków, jak i tej zapisanej przez Niemców. Kiedy jednak zgłębiam historię własnej rodziny, przenoszę się „w czasie i przestrzeni” na ziemię nowogrodzką, a ściślej mówiąc w okolice Baranowicz.

W 1880 roku była to wieś, którą zamieszkiwało 150 mieszkańców. Baranowicze zawdzięczały swój późniejszy dynamiczny rozwój położeniu na skrzyżowaniu ważnych linii kolejowych Brześć – Mińsk i Lida – Łuniniec. W latach trzydziestych naszego wieku Baranowicze liczyły ponad 11 tys. osób, z tego więcej niż połowę stanowili Żydzi. Domy w większości były drewniane. Jedynie przy reprezentacyjnej ulicy gen. Szeptyckiego przeważała zabudowa murowana. Przy tej ulicy znajdował się również Grób Nieznanego Żołnierza. Miasto posiadało kilka fabryk (wyrobów cementowych, smarów, wódek), przędzalnie, olejarnie, tartaki, młyny i dobrze rozwinięty handel. Młodzież pobierała nauki w dwóch gimnazjach – męskim i żeńskim oraz w Szkole Handlowej i Technikum Kolejowym.

FOTOGRAFIA Z RODZINNEGO ALBUMU

Państwowe Gimnazjum im. Tadeusza Rejtana w Baranowiczach, do którego uczęszczała moja mama, mieściło się w budynku murowanym w centrum miasta. Pracujący tutaj profesorowie pochodzili z Wilna i ze



Klasa III b Państwowego Gimnazjum im. T. Rejtana w Baranowiczach w 1925 r.

Lwowa. Na fotografii wykonanej w 1925 roku ujęta jest klasa III B z nauczycielką języka francuskiego panią Turską. Dziewczęta z tej klasy zdawały maturę w 1931 roku. Później ich drogi rozeszły się. Jedne z nich kontynuowały naukę na studiach, inne z kolei podjęły pracę i założyły rodziny. Wojna odcisnęła tragiczne piętno niemal na każdej z dziewcząt widocznych na fotografii. Po wkroczeniu Rosjan do miasta we wrześniu 1939 roku pani profesor Turska została wywieziona na Sybir. Koleżanki Żydówki, które stanowiły niemal połowę klasy, zostały wymordowane przez hitlerowców w 1942 roku w trakcie likwidacji getta w Baranowiczach. Jedynie Liba Cybińska i Sonia Poczapowska przeżyły, gdyż przed wybuchem wojny wylegowały do Palestyny. Losy wojenne rozproszyły pozostałe koleżanki po całym świecie. Kława znalazła się we Włoszech, Isia w Kanadzie, Zorka w Nowym Jorku – wspomina mama. Cztery z nich: Wiktoria Krzyżanowska, Janina Konstantynowicz, Maria Wolnicka i moja mama Janina Bujkiewicz odnalazły się po blisko 30 latach właśnie w Zielonej Górze. Kiedy się spotykają, wspominają najpiękniejsze chwile swojej młodości.

GARNIZON BARANOWICZE

Baranowicze były też ważnym miastem garnizonowym. Stacjonował tutaj 78 Pułk Piechoty, 26 Pułk Ułanów i jednostka artylerii Wojska Polskiego. W latach 1933/34 w piechocie odbywał służbę wojskową mój ojciec, wówczas plutonowy podchorąży Władysław Bujkiewicz. Wojsko w Baranowiczach rozlokowane było w drewnianych koszarach im. Tadeusza Kościuszki. Na placu apelowym odbywały się tradycyjnie uro-

czystości święta 3 Maja. W tym dniu starosta i inni przedstawiciele władz powiatowych składali okolicznościowe wizyty w kościele katolickim, cerkwi i synagodze. Później na placu apelowym przy koszarach odbywała się msza polowa z udziałem wojska, młodzieży szkolnej, harcerzy i Związku Strzeleckiego „Sokół”. Uroczystości zamykała defilada wojskowa. We wrześniu 1939 roku wojsko zostało w Baranowiczach dostało się do niewoli radzieckiej. Wśród oficerów byli znajomi mamy: kapitan rezerwy Bolesław Czarnoc-



Ppor. rezerwy Władysław Bujkiewicz.

ki, kapitan Jan Łapin, podporucznik Walenty Szwabowicz, podporucznik Karol Świszczewski, którzy już nigdy nie powrócili do domu. W pamięci mamy do dziś pozostaje list kpt. B. Czarnockiego do żony (z obozu w Starobielsku) – mała kartka papieru złożona na pół, a w niej prośba o ciepłą bieliznę i kilogram smalcu. Mój ojciec w stopniu podporucznika rezerwy został zmobilizowany w sierpniu 1939 roku do jednostki wojskowej w Łucku i wraz z nią przeniesiony na Pomorze. We wrześniu 1939 roku dostał się do niewoli niemieckiej w okolicach Inowrocławia.



Rodzinne strony moich bliskich kojarzą mi się także ze znanymi postaciami historycznymi, które zamieszkiwały okolice Baranowicz:

Zaosie – położone na północ od Baranowicz, wieś i folwark w pobliżu Jeziora Kołdyczewskiego, z którego bierze początek rzeka Szczara. Miejscowość powszechnie znana z uwagi na osobę poety Adama Mickiewicza, który spędził w niej pierwsze dwa lata swojego dzieciństwa. W 1926 roku harcerki z gimnazjum w Baranowiczach były w Zaosiu na odsłonięciu i poświęceniu pomnika Adama Mickiewicza,

Hruszówka – dobra Rejtanów w okolicach Lachowicz. Tu żył i umarł w sierpniu 1790 roku poseł nowogródzki Tadeusz Rejtan. Zasłynął z walki toczonej przeciwko legalizacji rozbioru Polski. Uwieczniony przez Jana Matejkę w 1866 roku na obrazie pt. „Rejtan”.

Lachowicze – małe miasteczko i dobra w powiecie Baranowicze. W przeszłości były one silną warownią. W XVII wieku władała nimi rodzina Chodkiewiczów. Hetman Karol Chodkiewicz był fundatorem kościoła farnego. W kościele tym spoczęły zwłoki Tadeusza Rejtana. W okresie II wojny kościół uległ zniszczeniu.

Mazurki – wieś nad rzeką Szczarą w pobliżu szosy brzesko-moskiewskiej. W Mazurkach urodziła się Kry-

styna Krahelska – etnograf, żołnierz Armii Krajowej, autorka piosenek żołnierskich „Hej, chłopcy, bagnet na broń” (1943), „Kujawiak” (1942) i „Smutna rzeka” (1942). W latach 1936 – 1937 pozowała ona znanej rzeźbiarce Ludwice Nitschowej do pomnika Syreny ustawionego na Wybrzeżu Kościuszkowskim w Warszawie w 1939 roku. Krystyna Krahelska zginęła w pierwszych dniach Powstania Warszawskiego.

Zbigniew Bujkiewicz



Żołnierze 78 Pułku Piechoty w koszarach.



Brama wjazdowa do koszar im. T. Kościuszki w Baranowiczach.



Filia sklepu żołnierskiego.

PIONIERSKI CZAS LUBUSKIEJ PLASTYKI

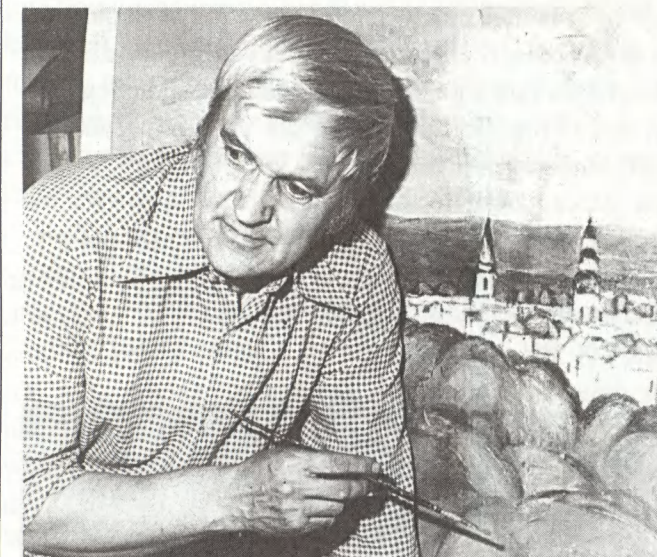
Były lata czterdzieste. W stolicy słyszy się terminy: Ziemia Odzyskana, Zachód, Dzikie Zachód, Przesiedleńcy, Szabrownicy, Nasze, Nienasze. Pierwszy wysiłek propagandowy – Wystawa Ziemi Odzyskanych we Wrocławiu. Tworzenie nowego domu na Zachodzie przez ludzi urodzonych na Wschodzie, w Małopolsce, na Mazowszu, w Poznańskim...

Pierwszy rok lat 50-tych – koniec studiów w Warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych, martwota okresu zwanego „Stalinowskim”. Na Krakowskim Przedmieściu, w Ministerstwie Kultury i Sztuki pierwsze próby tworzenia zorganizowanych ognisk kultury, umacniania powstających spontanicznie.

W nowo utworzonym województwie zielonogórskim p. Dębicka, kierownik Wydziału Kultury UW, nie czekając biernie na decyzje centralne występuje w roli Ministerstwa Kultury i Sztuki z prośbą o skierowanie grupy młodych artystów plastyków. I tak – powoli – jesienią 1953 r. zjawiają się w Zielonej Górze jako pierwsi, z Warszawy – Ryszard Lech i Witold Nowicki, następnie, zaraz po Nowym Roku z Krakowa – Kazimierz Rójowski, Marian Szpakowski i R. Zaborowski. Ta niewielka grupka znajduje natychmiast ważne elementy wiążące. Nowicki studiował u prof. Jana Cybisa, trzej „Krakowiacy” u prof. Rudzkiej-Cybisowej a zastany w Zielonej Górze Klem Felchnerowski u prof. J. Borysowskiego i T. Niesiołowskiego. Tak więc „programowo” ci młodzi absolwenci trzech różnych uczelni byli sobie bliscy, mogli bez trudu porozumiewać się w kwestii estetyki, rozumienia wagi koloryzmu w malarstwie a także w kwestii sprzeciwu wobec wprowadzania urzędowo doktryny „socjalistycznego realizmu”. Łączyła ich także podobna sytuacja bytowa, materialna. Tutaj nie oczekiwały przygotowane mieszkania, zlecenia prac plastycznych, zakupy obrazów. Mieszkaniem dysponował Klem Felchnerowski pełniący urząd Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków. On też, pod nieobecność żony i nowo narodzonego syna udostępnił je nowym kolegom z Warszawy. Wydział Kultury – tzn. P. Dębicka wysuwa propozycję stworzenia „kolonii artystów plastyków” w nadodrzańskich Cigacicach. Pierwsza nieudana próba – Lech i Nowicki zamieszkują tam, ale doświadczają natychmiast niedogodności komunikacyjnych. Brak stałej linii autobusowej, jazdy „na łebka” ciężarówkami załadowanymi skrzynkami czy ceglami – to zniechęca. Ludzie sympatyczni, ale pokój... pomalowany granatową farbą jeszcze w poprzedniej formacji historycznej nie poprawiał minorowych nastrojów. A więc rejterada do Zielonej Góry – tutaj przystań na

ul. Fabrycznej, mały domek, duży sad owocowy (dziś miejskie targowisko). Zjawia się kolejny „odkrywca” Nowego Świata – Ignacy Bieniek, z którym uprzednio, zaraz po ukończeniu studiów pracowaliśmy przy konserwacji zabytków sakralnych w woj. warszawskim. Wraca koncepcja kolonii plastyków w Cigacicach. Zamieszkują tam tym razem na dłużej „Krakowiacy” oraz Bieniek. Ten ostatni po lustracji przeprowadzonej na cmentarzu w Cigacicach („Tu ludzie długo żyją – można mieszkać”).

Pierwsze, niewielkie zlecenia ze strony Wydziału Kultury pozwalają przysłowiowo „wiązać koniec z końcem”, jawi się niewielkie, na razie, zapotrzebowanie na grafikę propagandową, druki ulotne, reklamę handlową. Zawijają się pierwsze przyjaźnie z aktorami,



Witold Nowicki w pracowni 1979 r.

dziennikarzami, młodymi lekarzami. Współpraca z teatrem, opracowywanie scenografii (etatowy scenograf A. Stańkowski, zlecenia – K. Felchnerowski i W. Nowicki), uczestniczenie w próbach sztuk reżyserowanych przez dyr. Koczanowicza, koleżeńskie wyjazdy teatralnym busem w teren, oglądanie sztuk na lepszych i gorszych scenach, na nieogrzewanych widowniach. A potem prawie codziennie spotkania w kawiarni „Polonia” przy herbacie zaprawianej spirytusem (sklep za ścianą), kierownik kawiarni – p. Kupajczyk – pierwszy praktycznie mecenas udostępniający lokal do późnych godzin. Tam też pierwsze nasze kompozycje ściennie o satyrycznym wydźwięku. Myślę, że w „Polonii” zaczęliśmy mówić o potrzebie powołania komórki organizacyjnej Związku Polskich Artystów Plastyków, byliśmy już bowiem członkami ZPAP. Kontakty z zarządem głównym spowodowały wyjazdy do Zielonej Góry sekretarza zielonogórskiego związku i powołanie Delegatury ZPAP przy Okręgu w Poznaniu w maju 1954 roku. Powstają nowe obrazy olejne, akwarelowe, pierwsze rysunki wspierane tematyką zielonogórską, martwe

natury, pejzaże, szkice i studia portretowe. Pierwsze wystawy – w muzeum przy ul. Szkolnej (dziś Lisowskiego), na stadionie przy ul. Wyspiańskiego, udział w wystawach okręgowych w Poznaniu. A w tym samym czasie trudne rozmowy z nielicznymi zleceniodawcami, przełamywanie nawyków do plastycznej amatorszczyzny, do tematycznej i formalnej bylejakości. Zaistniała więc potrzeba powołania usługowego przedsiębiorstwa w dziedzinie sztuki użytkowej. I znów usilne starania zakończone powołaniem Oddziału Pracowni Sztuk Plastycznych podlegającego Poznaniowi. Pierwszym kierownikiem zostaje żona J. Bieńka – Ingeborga. Z funkcjonowaniem przedsiębiorstwa wiąże się pewna uciążliwość – z poważniejszymi projektami trzeba jechać na komisję do Poznania. Ale z drugiej strony powoli kształtuje się „rysunek plastyczny” – artysta-plastyk nie musi dźwigać całego ciężaru zawieranych umów a status przedsiębiorstwa państwowego daje rękojmię legalności wycen regulacji podatkowych. Tyle, że przy kilkunastoosobowym stanie liczbowym plastyków, zleceń jest jeszcze za mało, domowe budżety są zawsze napięte. Z drugiej strony, artysta-plastyk w samej Zielonej Górze i w terenie województwa przypomina prowincjonalnego lekarza sprzed lat, który leczył wszystko na co jest zapotrzebowanie, chociaż większość nie



Scenografia K. Felchnerowskiego i W. Nowickiego do „Szczęścia Frania” W. Perzyńskiego za dyrekcji Z. Koczanowicza.

posiada wszechstronnego przygotowania. Dopiero tutaj malarze uczą się literatury, rysunku technicznego, płaszczyznowej grafiki reklamowej, rozbicia na kolory projektów do druku płaskiego. Ci, którzy mają już doświadczenie dzielą się swoją wiedzą plastyczną z młodszymi, zaczynającymi działalność użytkową.

Do Zielonej Góry trafiają kolejni absolwenci uczelni artystycznych – z Torunia (J. Roszak), Krakowa (A. Zacharska), Poznania. Do tej grupy młodych, energicznych ludzi reprezentujących różne uczelnie, różne kierunki, różną filozofię życiową dołączają ci, którzy przybyli wcześniej, na fali wielkich ruchów migracyjnych lat 40-tych.

Niniejszy szkic zacząłem kreślić od daty – jesień 1953 r. – od czasu początków akcji osiedleńczej. I choć nie jest moim celem analizowanie pierwszych lat powojennych, których świadkiem tu, na Ziemi Lubuskiej nie byłem, to wypadłoby odpowiedzieć na narzucające się pytanie: Co było przed rokiem 1953, przecież to dość duży obszar czasu? Moja wiedza w tym względzie jest wtórna a więc zapewne niepełna i nieobiektywna. Tak zastaliśmy tutaj grupę starszych na ogół kolegów, że wymienię nazwiska: Z. Szuman, J. Korcz, R. Feniuk w odniesieniu do Gorzowa, czy J. Majewski, S. Słocki, W. Müldner-Nieckowski, S. Brunne, W. Sokołowska, W. Trofimow, A. Kowalski w odniesieniu do Zielonej Góry i lubuskiej prowincji.

Ci pierwsi pionierzy, których przywiodły tu migracyjne ruchy powojenne zapoczątkowali działalność artystyczną a także społeczną. Niektórzy byli też członkami ZPAP Okręgu Poznańskiego. A więc – wystawy w Gorzowie i Zielonej Górze, działalność tzw. „Grupy Zielonogórskich Artystów Plastyków”, praca zawodowa w dziedzinie kultury (muzea, administracja, np. A. Stańkowski, K. Felchnerowski). Niestety, w latach 1950-51 ten dobry start został raptownie zahamowany. Znam takie przyczyny wymieniane przez wspomnianych kolegów. Jako podstawowa powtarzana jest wprowadzana wówczas przez Ministerstwo Kultury i administrację państwową nowa polityka kulturalna – importowany ze Związku Radzieckiego realizm socjalistyczny. Ale w latach 1953-54 ten nazywany skrótowo socrealizm „obowiązywał” w dalszym ciągu a my młodzi przybysze, niewiele sobie z tego robiliśmy. Malując, cieszyliśmy się kolorem, deformacją, transpozycją... Pozostaje jednak faktem, że zastaliśmy stagnację, dezorganizację, dezinformację. Z tej więc pozycji wystartowaliśmy do drugiego etapu walki (czy nie za duże słowo?) o kulturę tego dobrowolnie wybranego regionu i jego dwu głównych miast.

Upřednio wymieniałem nazwiska młodych przybyszów, wypada ten spis wzbogacić o nazwiska następnych plastyków: A. Falkiewicz, A. Zacharska, K. Szmajder, Z. Waldman. I jeszcze: małżeństwo Lis, Z. Pranga, J. Rószak. Jest nas więc kilkunastu młodych, energicznych i... często bezrobotnych. Bezpośrednie, sporadycznie zawierane umowy o dzieło nastroczały liczne niedogodności (np. płatnicze – pojęcie „fundusz osobowy” i „fundusz bezosobowy”). A więc kolejne starania uwiecznione (jak wspominałem) utworzenia w Zielonej Górze placówki Pracowni Sztuk Plastycznych Przedsiębiorstwo Państwowe. Ostatnie dwa słowa, szczególnie ważne, oznaczają „automatyczne” przekształcenie funduszu płac, a więc regulowanie rachunków z różnych „paragrafów”. I druga ważna okoliczność – Przedsiębiorstwo dysponuje Komisją Rzecz-

PIŃSK – STOLICA POLESIA MA 1000 LAT!

część II

Geograficzne położenie Polesia i konserwatyzm Pogleszów dla Pińska okazały się dobrodziejstwem w XVIII w., sprzyjało temu także administracyjne i gospodarcze uporządkowanie Pińszczyzny przez królową Bonę oraz nadanie miastu prawa magdeburskiego przez króla Stefana Batorego i dalszych przywilejów przez Wazów. To wszystko spowodowało, że Pińsk 66-letnią noc czasów saskich, kiedy to „za króla Sasa, jedź, pij i popuszczaj pasa”, przetrwał w stosunkowo dobrej kondycji, podczas gdy większość miast Polski wegetowała, mieszczaństwo pozbawione praw przeżywało regres gospodarczy, zubożały chłop nie kupował, a magnat swe wyszukane potrzeby zaspokajał za granicą.

Po najeździe szwedzkim pińszczanie znów odbudowali miasto, a o.o. jezuici nawet zakładają w 1729 r. drukarnię, prowadzą aptekę i kolegium. Jednak bitwa pod Połtawą w 1709 r., gdzie car Piotr I pobił Karola XII, to narodziny potęgi Rosji, co niestety miało wpływ na dalsze losy Polski. Nieudolność Augusta III, prywatna magnatów, destrukcyjne działania trzech potężnych sąsiadów, doprowadziły Polskę na skraj anarchii. Wyjścia z tego marazmu upatrywano we wstąpieniu na tron Polski w 1764 r. Stanisława Augusta Poniatowskiego z Wołczyna, z północno-zachodniego Polesia, starannie wykształconego Europejczyka. Jednak ostatni król Polski okazał się postacią kontrowersyjną i do dziś toczą się zajadle spory w ocenie jego panowania.

Właściwym zwiastunem wychodzenia z zapaści było przenikanie do Polski, a przy tym i na Polesie, nowego kierunku ideowego – Oświecenia. Niedaleko od Pińska, w Lubieszowie w kolegium o.o. pijarów kształcił się **Tadeusz Kościuszko** (1746-1817) z poleskich Siechnowic, a w Pińsku jezuitą jest **Adam Stanisław Naruszewicz** (1733-1796) z pobliskiej Duboi, późniejszy biskup Łucki, znakomity historyk, napisał „Historię narodu polskiego” od początków chrześcijaństwa do 1386 roku, sekretarz Rady Nieustającej, uczestnik obiadów czwartkowych.

Mieszczaństwo, średnia szlachta i wyższe duchowieństwo byli nośnikami ozdrowieńczych reform.

Poprawie ulega też sytuacja gospodarcza. **Michał Kazimierz Ogiński** (1728-1800) z Mołdowa, hetman wielki litewski, uczestnik konfederacji barskiej, odzie-

znawców co gwarantuje lepszy poziom wykonywanych prac. Zlecenia napływają nie tylko z dwóch głównych miast, ale także z terenu województwa. Na tle wspomnianych wyżej faktów, wiosną roku 1955 jawi się na horyzoncie ważna okoliczność dotycząca twórczości artystycznej. „Odejsie” wodza światowej rewolucji przynosi pierwsze rezultaty – czas „odwilży” i inicjatywę zorganizowania w Warszawie wielkiej wystawy plastyki „w nowym duchu”. Także i nasze środowisko czyni przygotowania. W rezultacie na historycznej dziś wystawie Młodej Plastyki „Arsenal” w 1955 r. znalazły się prace Klema Felchnerowskiego, W. Nowickiego, M. Szpakowskiego, R. Zaborowskiego.

Obok pracy twórczej przy sztalugach, projektach, użytkowych realizacjach spectrum działań poszerza się o współpracę z teatrem, pracę w ogniskach plastycznych, publicystykę kulturalną (artykuły w gazecie, współudział w organizowaniu jednodniówki „Ziemia Lubuska” i miesięcznika „Nadodrzie”). Znajduje się miejsce do pracy w lokalu ZPAP przy ul. Kościelnej, który zresztą wkrótce okazał się zbyt szczupły, np. brak miejsca na wystawy. Długie starania o nowy lokal znajdują swój pozytywny finał dopiero w końcu lat 50-tych. ZPAP uzyskuje lokal biurowy oraz dość dużą salę do wystaw czasowych przy ul. Żeromskiego (na I piętrze), a więc w samym centrum miasta, z widokiem na Ratusz tuż przed oknami. Tutaj, niezależnie od sporadycznych innych możliwości, realizowany jest plan wystaw naszego środowiska. Zresztą i my wychodzimy na zewnątrz, wystawiamy w Poznaniu, Wrocławiu, Bydgoszczy, Radomiu, Krakowie, Warszawie. Recenzje z tych prezentacji piszą krytycy: J. Madeyski, A. Osęka, J. Przyboś i inni. Przyjmujemy u nas wystawy indywidualne z licznych ośrodków. Wystawiają tu: A. Lenica, M. Wejman, E. Geppert, J. Szancenbach. Nasza aktywność zostaje doceniona, także na forum związkowym w czasie pełnienia funkcji przewodniczącego przez W. Nowickiego Oddział zielonogórski ZPAP uzyskuje prawa okręgu, a wkrótce po tym staje się samodzielnym okręgiem ZPAP. Ale są to już ostatnie lata pięćdziesiąte, zbliża się następna dekada, której nie zaliczyłbym do „okresu pionierskiego”. Jest to już normalna, wielopłaszczyznowa działalność silnego, aktywnego środowiska. Okres ten zapoczątkuje najpierw idea a następnie organizacja poważnej imprezy o charakterze międzynarodowym, ogólnopolskim jaką były sympozja i wystawy „Złotego Grona”. Reasumując ten krótki wywód pozwałam sobie wyrazić przekonanie, że naszą powinność kulturową lat pięćdziesiątych wypełniliśmy ofiarnie a na miarę naszych talentów i danych nam możliwość działania.

Witold Nowicki

dziczone ogromne dobra w znacznej części przeznaczano na cele społeczne, m.in. na budowę kanału, w latach 1767-1783 nazwanego Kanałem Ogińskiego, łączącego Prypeć z Niemnem, a tym samym Morze Czarne z Bałtykiem. Był to pierwszy kanał w Polsce. W czasie I wojny światowej zniszczony (wzdłuż kanału przebiegały okopy niemieckie). W latach 1923-1927 odbudowany przez rząd Polski, wznowiono żeglugę. Po 1945 r. Kanał Dnieprzańsko-Niemeński zaniedbano. Ozdrowieńcze reformy w Polsce, przeprowadzane przy współudziale króla, zaniepokoiły sąsiadów spod znaku Przymierza Trzech Czarnych Orłów i doprowadziły one do rozbioru Polski w 1772 r.

Pińsk jednak nadal pozostał w granicach Polski i właśnie wtedy następuje najświetniejszy 20-letni okres gospodarczego i kulturalnego rozwoju miasta. Odrodzenie Rzeczypospolitej nie ominęło też Polesia. W 1773 r., pod egidą króla, powstała Komisja Edukacji Narodowej, która przejęła majątek po kasacji zakonu o.o. jezuitów i była największym osiągnięciem Oświecenia w Polsce. Nastąpiła reforma szkolnictwa, wprowadzono nowy program nauczania, język polski jako przedmiot i język wykładowy, nauki matematyczno-przyrodnicze, języki obce, dla dzieci chłopskich szkoły parafialne.

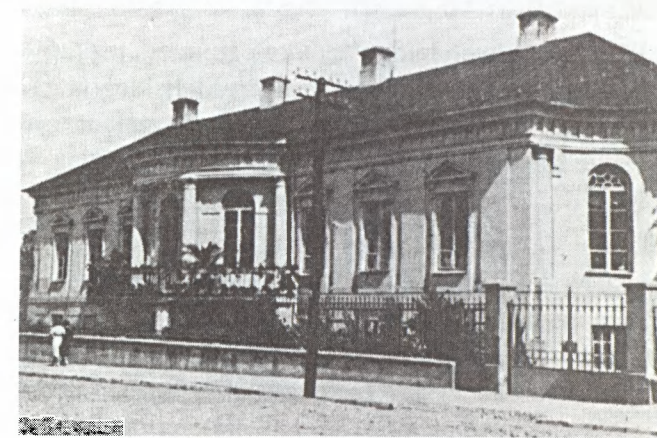
Narastające uprzemysłowienie Zachodniej Europy spowodowało wzrost zapotrzebowania na produkty rolne z Polski, a w tym z Polesia, co przyczyniło się do rozwoju Pińska, handlowo świetnie położonego. Wzrosła potrzeba usprawnienia szlaków handlowych w stronę zachodu, szczególnie wodnych. Doceniły tę potrzebę tak światłe umysły Pińska, jak starosta Chomiński, a szczególnie sędzia **Mateusz Butrymowicz** (1742-1814). Nie był Poleszkiem, ale poprzez małżeństwo przybył do Pińska w 1770 r. i szybko włączył się w działalność przemysłowo-handlową. Stał się mecenasem Polesia, które spopularyzował w Warszawie. Zachęcił króla do połączenia kanałem Piny z Muchawcem i na rozpoczęcie robót wyasygnowano 700 tys. zł polskich. Już w 1784 r. posyła M. Butrymowicz nowym kanałem do Warszawy, pod zamek królewski, flotyllę z 10 pińskich łodzi naładowanych: miodem, wołami, grzybami, rybą wędzoną i suszonymi wiunami (piskorzami), konwojowaną przez 30 mieszczan Pińska ubranych w stroje ludowe, co wzbudziło w Warszawie ogromną sensację. Zaintrygowany król dał się zaprosić i dnia 7 września 1784 r. zagościł w Pińsku, witany w imieniu mieszkańców przez marszałka pińskiego Druckiego, w kościele Franciszkanów przez biskupa A. Naruszewicza, po czym przy poświęceniu sztandarów brygady kawalerii narodowej przez starostę Chomińskiego. 8 września król otworzył groble

długości 26 km z wieloma mostami z Pińska do Łopatyna (Krystynowa), wybudowaną z funduszy M. Butrymowicza, który w Łopatynie podejmował króla przyjęciem. 9 września król położył kamień pamiątkowy pod fundament nowej posesji M. Butrymowicza w Pińsku i odjechał do Grodna drogą na Pohost i Łohiczyn. W czasie bytności w Pińsku król odwiedził i inne miejsca, m.in. na przedmieściu Karolin oglądał rewię gospodarczą i prezentację barwnych strojów Pińczuków. W lutym 1785 r. król zatwierdził dawne przywileje Pińska. Budowa kanału, który nazwano Królewskim, trwała w latach 1775-1842 r. Połączył on Polesie z Warszawą, a pośrednio Dniepr z Wisłą, obecnie Kanał Dnieprzańsko-Bużański. M. Butrymowicz był też działaczem społeczno-politycznym, w latach 1788-1792 był wspólnie z Pawłem Lach-Szyrmą posłem z ziemi pińskiej na Sejm Czteroletni. Zajmował się tam sprawami mniejszości narodowych, szczególnie Żydów, wydał broszurę „Sposób uformowania Żydów polskich w pożytecznych krajowi obywateli”, kwestią Polskiego Kościoła Prawosławnego, słynna Kongregacja Pińska oraz sprawą ustanowienia orderu *Virtuti Militari*. Sam otrzymał Order św. Stanisława i był kawalerem Orderu Orła Białego, zmarł w Pińsku. Wybitna postać nie tylko Polesia, jego imieniem nazwano w Pińsku, w czasach II Rzeczypospolitej, ulicę położoną od ul. Królowej Bony do ul. Roweckiej, a równoległą do głównej ul. T. Kościuszki. Przy ul. M. Butrymowicza 14 (obecnie ul. Korża) znajdowało się kino „Casino”.

Pińska posesja M. Butrymowicza to piękny pałac zwany „Mur” przy głównej ulicy, która nosiła nazwy: Wielka, Wielka Kijewska (zabory), Tadeusza Kościuszki, a potem (do dziś) W. I. Lenina. Był to wówczas najpiękniejszy dom w mieście, a J. I. Kraszewski określił go: „dość piękny, ale nadto na Pińsk nawet, zdaje się jak elegant na wsi wstydić się swej pretensjonalnej architektury, przy innych domkach, które stoją bez ceremonii, jak skrzyneczki na półkach”. Pałac ten odziedziczyli po M. Butrymowiczu jego córka Józefa Ordowa (+1859), wnuczka Hortensja Skirmuntowa i praprawnuczka Konstancja Skirmuntówna (+1934), córka Heleny ze Skirmuntów – Skirmuntowej, słynnej rzeźbiarki i malarki. W 1901 r. pałac objął wielki pożar, w którym spłonęło większość cennych pamiątek o historycznej wartości. Po pożarze pałac natychmiast odbudowano w pierwotnym kształcie, ale wystrój wewnątrz był już skromny. Konstancja Skirmuntówna przed 1930 r. sprzedała pałac na rezydencję kurii biskupiej, zachowując sobie jedno skrzydło jako dożywocie. W okresie 20-lecia międzywojennego wszyscy doskonale znaliśmy ten budynek jako rezydencję biskupa katolickiego przy głównej ul. T. Kościuszki 46 i wcale tak bardzo się nie wyróżniał. Przy ul. T. Kościu-

szki stało już wiele ładnych domów, eleganckich sklepów i lokali. Po 1945 r. przy ul. Lenina 44 pełnił rolę kinoteatru. W 1975 r. zrobił na mnie przynębiające wrażenie, zaniedbany i zapadnięty. Odrestaurowany w 1986 r. był domem kultury dla młodzieży, od 1997 r. ponownie po remoncie.

Z myślą o Mistrzostwach Europy w Motobolu, niedawno w sąsiedztwie wybudowano hotel „Prypeć” wg R. Kapuścińskiego – stylu sowiecko-modernistycznym. Leży nad rzeką, ale nie wychodzi na nią ani jedno okno, podczas gdy pałac bocznymi skrzydłami tworzył piękny dziedziniec, przechodzący w ogród w dół ku rzece Pinie.



Pińsk 1938 r. Pałac „Mur”
od strony ul. Kościuszki.

Chciałabym również wspomnieć, że potomkowie Mateusza Butrymowicza dobrze zasłużyli się Polsce.

Wnuk **Napoleon Orda** (1807-1883), słynny rysownik, pianista i kompozytor. Objeżdżając całą Polskę stworzył unikalny album rysownika wykonany ołówkiem pt. „Pieśń o ziemi”. Utrwalił tam budownictwo Rzeczypospolitej Polskiej. Wiele z tych zabytków historii bezpowrotnie zniszczyły wojny i tylko dzięki N. Ordzie możemy zobaczyć, jak wyglądały.

Za jego udział w powstaniu listopadowym w 1830 r., władze carskie skonfiskowały mu rodowy majątek Worocewicze w powiecie pińskim, który przeszedł w posiadanie rosyjskie – Paleologów. Ukończył też wydział matematyki i był adiunktem na uniwersytecie w Wilnie.

Prawnuczka **Helena Skirmuntówna** (1827-1874), siostrzenica N. Ordy. W siedemnastym roku życia wyjechała z matką z Pińska do Berlina na studia plastyczne. Była rzeźbiarką i malarką. Z cenniejszych prac to: Typ szlachcica Poleszuka (gips), cztery wielkie krucyfiksy w brązie, Gedymin i Mindog – płaskorzeźby, obraz Niepokalanego Poczęcia w Duksztach. Najpiękniejszą jej pracą są szachy historyczne przedstawiają-

ce króla Jana III Sobieskiego i typy wojskowe polskie oraz Kara Mustafę i typy tureckie. Dzieło to odlano w brązie. Jeden zbiór ma Muzeum Narodowe w Krakowie, drugi stał się własnością cesarza austriackiego w Wiedniu, a trzeci pozostał w rodzinie, w pałacu „Mur” w Pińsku, którego właścicielką była jej matka Hortensja Ordówna-Skirmuntowa. Niestety, nie wiadomo, co stało się z kompletem historycznych szachów, gdyż szachy i inne cenne przedmioty, pamiątki, archiwum rodzinne, wszystko to, co ocalało po pożarze w 1901 r., zostało zrabowane w czasie I wojny światowej.

Helena Skirmuntowa brała czynny udział w powstaniu styczniowym w 1863 r. jako łączniczka, udzielała schronienia, pielęgnowała rannych. Za to, a szczególnie za pomoc udzieloną Romualdowi Trauguttowi, Helena i jej mąż Kazimierz Skirmuntowie skazani zostali przez Murawiewa na Syberię, gdzie w wieku 47 lat zmarła. Jej niezamężna córka wychowywana przez babkę Hortensję też prowadziła działalność patriotyczną w czasach srogich rządów Stołypina. Zmarła w Pińsku w 1934 r.

W Pińsku, po kasacji oo. jezuitów w 1773 r., kościół św. Stanisława zostaje zamieniony na katedrę biskupa unickiego. Dwadzieścia lat po rozbiore Polski, gdy Pińsk znalazł się pod panowaniem Rosji, rozpoczyna się tu instalowanie cerkwi prawosławnej. 22 maja 1799 r. straszny pożar niszczy znaczną część miasta, obejmując swym żywiołem również kościół św. Stanisława. Po pożarze, w 1800 r., kościół i kolegium obejmuje w swoje posiadanie klasztor Piotropawłowski z Mińska, który po przeniesieniu do Pińska otrzymuje nazwę Bogojawleńskiego klasztoru I klasy. Od 1848 r. w budynku kolegium mieści się też Prawosławne Seminarium Duchowne.

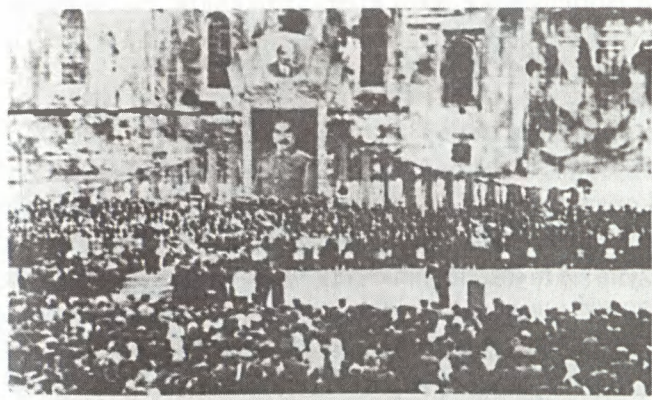
Po I wojnie światowej w 1919 r. kościół i klasztor odzyskują oo. jezuiti, którzy w dwudziestolecie międzywojennym prowadzą Niższe Seminarium Duchowne i Prywatne Męskie Gimnazjum. Kościół św. Stanisława z czasem zostaje kościołem garnizonowym, a plac 3-go Maja przed kościołem staje się miejscem odbywających się uroczystości kościelnych, państwowych i wojskowych, szczególnie pięknych z udziałem pińskiej Flotylli Rzecznej Marynarki Wojennej. Pozostały w mojej pamięci jako cudowne wspomnienie, w niektórych, jako uczennica szkoły powszechnej, też brałam udział.

20 września 1939 r. grupę wkraczających do Pińska sowieckich pojazdów pancernych na pl. 3-go Maja, z wieży kościoła ostrzelał z cekaemu, porucznik piechoty. W odwecie Sowietci ostrzelali pociskami zapalającymi i wieża spłonęła. Gdy w nocy z 21 na 22 września ponownie z wieży strzelano, Sowietci otworzyli ogień

z haubic na wprost, burząc wieże oraz uszkadzając kościoły. Ogień i grabież dopełniły zniszczeń.

W czasie okupacji hitlerowskiej zamknięty teren kościoła i klasztoru zajmowały wojska niemieckie. 14 lipca 1944 r. po ponownym wkroczeniu wojsk sowieckich do Pińska budynki kolegium i kościoła nie uległy dalszemu uszkodzeniu. Kolegium było w nie najgorszym stanie, natomiast kościół wypalony z częściowo uszkodzonymi murami.

Nie podjęto jednak odbudowy tej perły architektury barokowej, nawet nie zabezpieczono przed dalszą dewastacją, a po dziewięciu latach, we wrześniu 1953 r., zburzono. Sami Rosjanie stwierdzają, że w ocenie specjalistów utrata tego wspaniałego pomnika historii jest porównywalna ze zburzeniem słynnej cerkwi Chrystusa Zbawiciela w Moskwie, obecnie odbudowywanej.



Одно из первых послевоенных торжеств в Пинске на площади (у стен уцелевшего тогда костела)

Jedno z pierwszych powojennych świąt w Pińsku na placu (u ścian ocalałego kościoła).

Na dawnym pl. 3-go Maja, obecnie pl. Lenina, ponownie zaczęły się odbywać uroczystości, ale już zupełnie innej opcji politycznej i w innym języku, a na wprost wejścia do dawnego kościoła w 1970 r. na granitowym postumencie wzniesiono ogromny pomnik Lenina. Widomy znak przeobrażeń, jakie zaszły w Pińsku.

Niestety, plac 3-go Maja kojarzy mi się też negatywnie z czymś potwornym. Był listopad 1941 r. lub luty 1942 r. Pamiętam, że było zimno, ale bez śniegu, byłam wówczas uczennicą pierwszej klasy Zasadniczej Żeńskiej Szkoły Odzieżowej. Wracałam po lekcjach do domu z dawnej ul. J. Piłsudskiego (obecnie Zoi Kosmodiemiańskiej), przez pl. 3-go Maja w okolicę mostu na Pinie.

Gdy weszłam na plac, zobaczyłam na prawo zgromadzony tłum ludzi posępnych, stojących w milczeniu, a na obrzeżach tego tłumy niemieckich żołnierzy z bronią. Pośrodku tego tłumy na wolnej przestrzeni

stała wbita w bruk szubienica, z dwoma słupami, na której wisiało dwóch mężczyzn i wśród nich kobieta w wieku 30-50 lat. Wszyscy troje na lewej piersi mieli gwiazdy Dawida oraz przybite tekturki z jakimiś napisami.

Żydzi dla nas to byli innowiercy, byli i inne bliższe nam wyznania, ale byli to też nasi sąsiedzi, koleżanki i koledzy ze szkoły i podwórka. Dla mnie, 13 letniej dziewczyny, było to przeżycie straszne, które pozostało na całe życie. Gdy przybiegłam roztrzęsiona do domu, ciocia Tonia próbując mnie uspokoić, podała mi krupnik z żeberkami. Sama nigdy nie gotuję krupniku, a gdy mi go ktoś poda, zawsze przed oczami staje mi piński plac 3-go Maja z szubienicą.

W zachowanych budynkach kolegium oo. jezuitów po 1944 r. mieściły się biura Urzędu Miejskiego i galeria obrazów. Obecnie budynek przekształcono w Miejskie Muzeum Polesia.

W czerwcu 1997 r., w sentymentalną podróż do Pińska, udał się pisarz Ryszard Kapuściński, urodzony w Pińsku w 1932 r. Z tej podróży powstał reportaż, w którym wspomniano, że w czasie zwiedzania miasta w muzeum poproszono go, aby był obecny na seminarium i otwarciu wystawy etnograficznej o wsi poleskiej. Wystawę tę przygotowywały Anna Engelking z Warszawy i Wołga Labaczewska z Mińska; czarno-białe fotografie Polesia i Poleszuków z lat trzydziestych i kolorowe fotografie z tych samych miejscowości w czasach obecnych. Co ciekawe, są to te same zdjęcia, które pokazano w Zielonej Górze na wystawie „Polesie wczoraj i dziś” w zielonogórskim Muzeum Etnograficznym w Ochli, a których jedną z autorek jest właśnie Anna Engelking z Warszawy.

Jak wspomniano w reportażu, nie wszystkie zdjęcia współczesne będą pokazane w Pińsku, ponieważ zostały obłożone aresztem. Wystawę po raz pierwszy pokazano w Brześciu, ale zaraz potem zdjęcia współczesne usunięto ze względów politycznych. Okazało się, że są zbyt podobne do tych starych, chociaż kolorowe. Jak gdyby przez 60 lat nic się nie zmieniło. To też znak czasu, gdzie zmierza obecna Białoruś. Możemy się cieszyć, że u nas po przełomie 1989 r. takie polityczne ocenianie już nie jest możliwe, oglądamy wystawę w jej pełnej wymowie.

Pragnę tu podziękować twórcom i organizatorom wystawy, zarówno tym z Warszawy, za wystawę i za pokazywanie jej nie tylko w Polsce, ale i za granicą, jak i naszym z Muzeum Etnograficznego w Ochli oraz wszystkim, którzy przyczynili się do pokazania w Zielonej Górze Polesia, naszych – Poleszuków – korzeni.

cdn.

Jadwiga Kolibabka

W ubiegłym roku Zielonogórska Książnica im. C. Norwida obchodziła 50-lecie swej działalności, zapoczątkowanej otwarciem 3 maja 1947 r. niewielkiej wypożyczalni książek w nie istniejącym już budynku przy ul. 3 Maja 46 (obecna ul. Jedności). Po połączeniu Biblioteki Miejskiej z utworzoną w 1951 r. Biblioteką Wojewódzką, przydzielono Wojewódzkiej i Miejskiej Bibliotece Publicznej (WiMBP) budynek przy ul. Jedności Robotniczej 57, w której mogła rozwinąć szerszą, niż MBP, działalność popularyzatorską, a przede wszystkim powiększyć swe zbiory.

Norwidowska Książnica ośrodkiem wiedzy o Zielonej Górze

Z początkiem lat 60. WiMBP przystąpiła do gromadzenia w szerokim zakresie piśmiennictwa naukowego. Nie poprzestano na zakupie nowości wydawniczych, lecz uzupełniano luki w księgozbiorze, wykorzystując wszelkie nadarżające się okazje. Szczególną uwagę zwrócono na gromadzenie lubusianów – druków dotyczących regionu, w tym – oczywiście – również Zielonej Góry, zwłaszcza wydanych przed 1945 r. Nabywano regionalia korzystając z ofert antykwarycznych, a także osób prywatnych. Przedstawiciele biblioteki (najczęściej kierownictwa) uczestniczyli w licznych aukcjach antykwarycznych książek, dokonując na nich zakupów szczególnie cennych i rzadkich wydawnictw.

Wartościową kolekcję książek regionalnych WiMBP zakupiła od wdowy po zielonogórskim historyku, Zygmuncie Rutkowskim. Podobny ilościowo, liczący kilkadziesiąt pozycji zbiór lubusianów, biblioteka pozyskała od Wiesława Sautera, niedawno zmarłego, znanego działacza kultury. W sposób istotny wzbogaciło druki regionalne biblioteki przejęcie księgozbioru – z wyjątkiem części starodruków – po byłym zielonogórskim Heimatmuseum, przekazanego przez Muzeum Ziemi Lubuskiej. Z kolei w zakupionej spuściźnie po prof. Józefie Kostrzewskim, wśród ponad 100 tek rękopiśmiennych notatek znalazły się posyty z adnotacją poznajskiego archeologa – „Ziemia Lubuska”. Są to materiały, jakie ten uczony zgromadził w związku z opracowywanym szkicem „Pradzieje człowieka” do monografii „Ziemia Lubuska”, wydanej w Poznaniu w 1950 r.

W poszukiwaniu regionalistów, zwłaszcza sprzed 1945 r., stosowano również metody niekonwencjonalne. W 1974 r. ogłoszono wojewódzki konkurs „Szukamy białego kruka”, którego celem było zorganizowanie lokalnych, a następnie wojewódzkiej wystawy dawnych druków, map i rękopisów przechowywanych w zbiorach prywatnych. Jego plonem była interesująca wystawa eksponowana w salonie „Empiku” w Zielonej Górze w 500-lecie polskiego drukarstwa. Wśród eksponatów znalazły się cenne druki renesansowe, pięknie stylizowane, barokowe, rękopiśmienne dyplomy, a oprócz licznych druków z XVII-XIX w., również zabytkowa kartografia i czasopisma z okresu międzywojennego, m.in. pręnumerowane przez miejscową ludność rodzimą.

O randze wystawy niech świadczy zabawne – chociaż w pełni autentyczne – wydarzenie, jakie jej towarzyszyło. Oto

po zwiedzeniu ekspozycji znany zielonogórski działacz społeczny wpisał do wyłożonej w salonie wystawowym książki pamiątkowej wyrazy uznania i podziękowania za „zorganizowanie przez WiMBP wystawy zabytków piśmiennictwa ze zbiorów Biblioteki Ossolineum we Wrocławiu, jakich nigdy dotąd mieszkańcy Zielonej Góry nie oglądali” (sic!).

Część udostępnionych przez zielonogórczan „zabytków piśmiennictwa” powiększyła z czasem zbiory biblioteki, m.in. najcenniejsze – inkunabuł ze schyłku XV w., piękny barokowy dyplom z XVII w. oraz sporo czasopism przechowywanych przez ludność rodzimą, w tym tytuły pręnumerowane przez Towarzystwo Polskich Rzemieślników w Zielonej Górze, np. „Gazeta Grudziądzka”.

Okazją do zakupu interesujących wydawnictw stały się także organizowane przez WiMBP w latach 80. aukcje książek i czasopism, dostarczanych przez ich właścicieli. W tym czasie stały się one w Zielonej Górze dość popularną formą sprzedaży i pozyskiwania interesujących wydawnictw, których brak na rynku księgarskim dotkliwie odczuwano.

Operatywność bibliotekarzy, którzy wykorzystywali wszelkie możliwości pozyskania wartościowych nabytków – przyniosła zaskakujące odkrycia. W samej Zielonej Górze natrafiono na nieznane zupełnie szkice C. Norwida, których nabycie zasugerowało nadanie WiMBP imienia tego wszechstronnego twórcy. Z kolei w Dąbrowie, niedaleko Zaboru, w zagrodzie Longina Jakubowskiego odkryto prywatne archiwum Herminii, drugiej żony Wilhelma II, ostatniego cesarza Niemiec, a w nim 2700 listów i innych dokumentów. To ostatnie odkrycie odbiło się szerokim echem nie tylko w Polsce.

W handlu antykwarycznym druki regionalne pojawiają się rzadko, a niektórych wydawnictw, zwłaszcza periodycznych, brak całkowicie. W tej sytuacji WiMBP przystąpiła do uzupełniania braków – zwłaszcza starszego piśmiennictwa i czasopism – o kopie mikrofilmowe lubusianów sprowadzanych z bibliotek uniwersyteckich w Poznaniu i Wrocławiu.

Staranne gromadzenie i kompletowanie od ponad 30 lat zbiorów regionalnych przyniosło widoczne efekty. Lubusiana, uwzględniając wszystkie kategorie materiałów bibliotecznych, liczą obecnie 28 264 jednostki. W ich skład wchodzi książki, broszury i czasopisma, zbiory specjalne: stro-

druki, kartografia i rękopisy, a także dokumenty życia społecznego (afisze, plakaty, foldery i inne) oraz mikrofilmy i fotografie.

Znaczna ich część to monteverdiana – materiały biblioteczne związane z Zieloną Górą, zarówno powojenne, jak i wydane przed 1945 r., a więc niemieckie. Warto wspomnieć, że do czasu wydania przez A. Bogaczyka, w listopadzie 1945 r., „Informatora m. Zielonejgóry”, ukazały się tylko trzy polskie monteverdiana: 1) nota o Zielonej Górze w „Słowniku geograficznym Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich” t. 14, Warszawa 1985, s. 599-600; 2) „Ustawy Towarzystwa Rzemieślników Polskich w Zielonej Górze”. Wyd. 1, Poznań 1898, nakładem Towarzystwa, czcionkami drukarni F. Chociszewskiego, wyd. 2 ukazało się także w Poznaniu, w 1901 r. i wyszło spod pras drukarni „Pracy”; 3) anonimowy artykuł „Winobranie w Zielonogórze na Szlaku”, opublikowany w warszawskim piśmie kobiecym „Bluszcz” w 1887 r. Jego autorką była niewątpliwie Melania Parczewska, żywo interesująca się sprawami Śląska, którym w swych tekstach poświęcała wiele uwagi.

Wprawdzie nie tłoczono w Zielonej Górze do 1945 r. druków polskich, to jednak ich obecność w naszym mieście potwierdzają przekazy źródłowe. W sprawozdaniu wizytacyjnym archidziekona kolegiaty głogowskiej, Z. Hüllera, odnotowano w 1688 r., że w wyposażeniu kościoła parafialnego św. Jadwigi znajduje się polski ewangelista. Sto lat wcześniej polskim ewangelizmem posługiwali się niewątpliwie diakoni polskiego kościoła ewangelickiego św. Trójcy, wzniesionego w 1590 r. na cmentarzu tej samej nazwy w Zielonej Górze, już za murami miasta, w miejscu obecnego pl. Słowiańskiego.

Nie znalazłem w archiwum kościoła św. Jadwigi polskiego ewangelizma, natrafiłem natomiast wśród dokumentów parafialnych na list pasterski wrocławskiego arcybiskupa, Adolfa Bertrama, z 23 września 1937 r., o znaczeniu różańca dla czasów współczesnych. Nie byłoby w tym niczego nadzwyczajnego, gdyby nie to, że jego tekst opublikowany został w dwóch wersjach językowych – niemieckiej i polskiej, przy czym w nie wahano się podać (w wersji drugiej) polskiej nazwy Wrocławia jako stolicy arcybiskupstwa.

Zielonogórski, niemiecko-polski list pasterski poświadczają, o czym zresztą wiemy również z wielu innych przekazów, że do czasu wybuchu II wojny światowej wszystkie pasterskie listy wrocławskiego arcybiskupa przesyłano do poszczególnych parafii na Śląsku w wersji dwujęzycznej. Zielonogórskie archiwum parafialne pierwotnie posiadało niewątpliwie ich komplet, podobnie jak inne śląskie parafie. Pewną ilość listów pasterskich A. Bertrama, tłoczonych we Wrocławiu, posiada WiMBP, ostatni z 1939 r. eksponowany jest w Muzeum Książki Środkowego Nadodrza.

Kolejnym tekstem, w który kuria arcybiskupia zaopatrywała wszystkie kościoły archidiecezji wrocławskiej, było „Rituale wratislaviense”, zawierające formuły wypowiedziane przy udzielaniu sakramentów, dokonywaniu święceń czy odprawianiu egzorcyzmów. WiMBP posiada trzy wydania „Rituale” z XVII-XIX w., każde drukowane jest po łacinie, niemiecku i polsku. Ta trójjęzyczna księga, z reguły tłoczona czarną i czerwoną farbą, znajdować się również musiała

w parafii św. Jadwigi. Natomiast wyłącznie polskim tekstem Biblii posługiwał się polski diakon kościoła św. Trójcy, który – sprawując opiekę duchową nad polskimi parafianami ewangelikami – zobowiązany był do jej lektury w kaplicy szpitalnej przy cmentarzu św. Trójcy. Ponieważ zgodnie z decyzją rady miejskiej polski diakon „...in der teutschen Kirchen... nichts zu thun haben soll...”, należy przyjąć, że jego lektury w szpitalnej kaplicy słuchała wyłącznie ludność polska.

Wróćmy po tym historycznym ekskursie do spraw zielonogórskich regionalistów. Ich wyliczanie nie jest, w krótkim artykule, ani możliwe, ani też celowe, dlatego poprzestaję muszę na stwierdzeniu, że WiMBP posiada wszystkie najważniejsze niemieckie ogólne opracowania dziejów miasta i zielonogórskiego powiatu, niemal kompletny zbiór większości czasopism wydawanych w Zielonej Górze przed zakończeniem wojny, które miejscowym publicystom i historykom dostarczają wiele materiałów do ich opracowań i reportaży z życia codziennego miasta w niezbyt odległej przeszłości. Sporo pozycji dotyczy poszczególnych dziedzin i zagadnień; są to monografie pojedynczych obiektów (np. kościoła parafialnego), opracowania dotyczące niektórych instytucji, związków i stowarzyszeń. Powojenne wydawnictwa dotyczące miasta WiMBP zgromadziła w komplecie.

Biblioteka posiada również kolekcję starodruków, które – chociaż nie w całości, to w interesujących fragmentach – odnoszą się do Zielonej Góry, jak np. dzieło F. A. Zimmermanna, listy o Śląsku J. F. Zöllnera czy wcześniejsze drukowane kroniki Cureusa i Schikfusiusa. Warto dodać, że biblioteka pozyskała również egzemplarz kroniki J. G. Johana z jej rękopiśmienną kontynuacją do 1881 r. pióra A. Pilza, a także, że w zbiorach specjalnych WiMBP przechowywane są interesujące plany miasta sprzed 1945 r. oraz liczne zdjęcia – głównie powojenne – Winnego Grodu i imprez w nim organizowanych.

Zbiory regionalne uzupełnia obszerna dokumentacja bibliograficzna powojennego piśmiennictwa dotyczącego regionu, uwzględniająca zarówno wydawnictwa książkowe, jak i artykuły z czasopism i lokalnej prasy, licząca ponad 120 000 opisów. Łącznie z księgozbiorem stanowi ona obszerne źródło informacji, również o dziejach i współczesnych problemach Zielonej Góry.

Organizacja udostępniania zbiorów regionalnych jest nieskomplikowana i wygodna dla czytelników. Regionalia wyodrębnione zostały z całości zbiorów i zgromadzone w Gabinetie Lubuskim, mieszczącym się w ośrodku informacji, dostępnym z hallu głównego. Pełnych informacji o zasobie dostarczają oddzielne katalogi: alfabetyczny i systematyczny książek oraz alfabetyczny i systematyczny czasopism, a ponadto kartoteka dokumentów życia społecznego. Poza bibliotekę wypożycza się tylko dalsze egzemplarze regionalistów, które należy jednak zamawiać z magazynu w wypożyczalni ogólnej. Korzystanie ze zbiorów na miejscu umożliwia wystarczająca ilość miejsc w lektorium Gabinetu Lubuskiego.

Grzegorz Chmielewski



Ignacy Bieniek urodził się 14 maja 1925 roku w Bystrej koło Bielska. Studiował w latach 1946-1951 w Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie u prof. prof. Z. Radnickiego, J. Fedkowicza, H. Gotliba i Z. Pronaszk. Przez 6 lat (1953-1959) związany był z Zieloną Górą. Ze względu na swoje prace przy zabytkach związał się ze służbą konserwatorską. Urząd ten powstał w roku 1953, a Klem Felchnerowski, wojewódzki konserwator zabytków, był nade wszystko artystą malarzem. Staszek Kowalski i ja, historycy sztuki po poznańskim uniwersytecie, szybko zostaliśmy wprowadzeni do malarskiej kolonii przez naszego szefa. Ignacy Bieniek pierwszą wystawę miał w pięć lat po studiach, o czym wspominają Jego katalogi. A więc przypało to na rok 1957 właśnie w Zielonej Górze. I tak się stało, że ja mam na sumieniu pierwsze omówienie Jego wystawy. Wobec Jego ogromnego dorobku, licznych wystaw w kraju i za granicą, wiem, że to są słowa kulawe, lecz ze względu na ich historyczne znaczenie mam odwagę przytoczyć drobne fragmenty tego, co wówczas napisałem do Rozgłośni Polskiego Radia w Zielonej Górze.

„...Jeszcze raz miałem możliwość przekonać się o wielkiej komunikatywności jego sztuki. Obserwowałem zwiędzających ludzi z różnych środowisk posiadających z pewnością różne gusta i upodobania. Spokojnie, z zastanowieniem zatrzymywali się przed każdym obrazem, wymieniali swoje poglądy. Brak było tej charakterystycznej drwiny, która towarzyszy oględzinom rzeczy niezrozumiałych i zagmatwanych. Bo też Ignacy ani przez chwilę nie próbuje zaszokować widza, zaskoczyć go i olśnić. Przedstawił opinii społecznej swój pięcioletni trud i całokształt jej zaufał. W tych 84 pracach z zakresu malarstwa i grafiki pokazał obszerną skalę nastrojów... Prace... są warte obejrzenia i przedyskutowania tym bardziej, że jak sam się wyraził: – Zamknąłem pewien okres w swojej twórczości...”

Artysta pozwolił sobie poznać głębiej, pokazał swoją wrażliwość, której nie okazuje prywatnie, temperament artystyczny, o który trudno posądzić go w życiu codziennym oraz dynamizm, którego mu już zupełnie brak w obcowaniu z ludźmi. W dniu otwarcia wystawy mówił: – Bardzo bym się cieszył, gdyby moje obrazy podobały się...”

Poza tym omówieniem dodaję, że istotnie podobały się. Z wybranych tytułów można się zorientować, jaką treść zawierały Jego prace. „Słoneczniki”, „Na jeziorze”, „Łodzie”, „Dęby nad Odrą”, „Motyw z Zielonej Góry”, „Akt”...

Z mojej kroniki wynotowałem ponadto zdania dotyczące Jego pierwszej ekspozycji. „...Ignacy miał z tą wystawą kłopot, nie miał jej czym przewieźć i Fudalew w Nowej Soli nie chciał jej przyjąć do swego muzeum.” Ignacy to bardzo bolało. Proza życia musiała być dokuczliwa, gdyż także odnotowałem: „W Komisji przyznającej nagrody dla twórców w Zielonej Górze prawdopodobnie jest żona Ignacy. Jak mówią złośliwi, walczy o przyznanie nagrody mężowi... Ignacy to górnik, zszedł na niziny i ciągle to czuje... źle się czuje w dołach. Ja mam ciągle wrażenie, że Ignacy ucieknie z Zielonej Góry. Dlatego, że to Jego zamilowanie do gór odczuwam w przenośni.”

* * *

Pod koniec lat osiemdziesiątych pojechałem do Krakowa wraz z Leszkiem Kanią, wówczas kierownikiem Działu Sztuki Współczesnej w Muzeum, aby z pracowni prof. Józefa Marka dokonać wyboru paru prac, które zamierzaliśmy zakupić do zbiorów w Zielonej Górze. Józef Marek i Ola Domańska-Bortowska, żona Marka, mieli w naszym muzeum galerię autorską. I gdy tak siedzieliśmy przy stole i ustalaliśmy ceny (tutaj przypomina mi się dyrektor zielonogórskiej Estrady pan Bialik, który mówił do artystów: – Panie, ja znam pana wartość i wiem, że powinienem Panu zapłacić pięć razy tyle, ile Panu płacę, ale niech mi Pan wierzy, że i tak Panu płacę trzy razy więcej, ile mogę), mój wzrok padł na portret jakiejś nieznanym kobiecie, zupełnie nie wyróżniający się spośród innych w pracowni. Zapytałem Leszka, co sądzi o tym obrazie, ale starszy kustosz Kania wyraził dezaprobatę. Jednak ta praca nie dawała mi spokoju i zapytałem wprost, kto jest ta niepokojąca mnie pani. Józef Marek powiedział wówczas, że kupując ten obraz zrobilibyśmy dobry interes, gdyż jest to portret podwójny. Po czym podszedł do ściany, zdjął obraz, odwrócił go na drugą stronę, a tam był... portret Ignacego Bienika.

I tutaj okazało się, że Józef Marek i Ignacy Bieniek to dwaj serdeczni przyjaciele po tej samej Akademii w Krakowie. Ten portret podwójny prof. Józef Marek podarował naszemu Muzeum.

* * *

Ignacy Bieniek po studiach zatrudnił się w Pracowni Konserwacji Zabytków i zdobył doświadczenie w tym zakresie, gdyż w Boguszycach koło Rawy Mazowieckiej konserwował w zabytkowym kościele polichromię. Zdejmował z dużej ściany warstwę farb olejnych odsłaniając pierwotne malowidło. Była to precyzyjna praca, a uzupełnianie fresków wymagało wiedzy i cierpliwości.

Do kościoła Ignacy zanosił cały warsztat malarsko-konserwatorski i po dniu pracy ponownie zabierał, gdyż kościół przez cały czas był czynny. Aby sobie ulżyć, w pobliskim PGR-ze kupił małego syberyjskiego konika, którego zapragnął objuczyć swoimi ciężarami. Nie powiadomiono jednak Artysty, że konik ma wybuchowy tempera-

ment i żadną miarą nie pozwoli się obciążać. Gryzł i kopał Ignaca nie zważając na Jego status zawodowy ani na robotę w Domu Bożym. Ignac ustąpił dopiero po kopnięciu w kolano na tyle dolegliwym, że ból wyłączył go z pracy. Jednak zamysł, aby coś zrobić z uciążliwym warsztatem pozostał. W tymże samym PGR-ze był jako wozivoda zatrudniony osiołek ze swoją małżonką. Ponieważ osiołek w okresie napięć miłosnych wraz z beczkowozem uciekał i zalecał się do oślicy, robiąc przy tym straszny raban, a głos miał donośny, dyrektor nie stawiał sprzeciwu, aby się go pozbyć. Ignac oddał konika, dopłacił co nieco i stał się właścicielem osła o dziwnej nazwie Mufy. Bardzo się zaprzyjaźnili, ale były też chwile w życiu osła, kiedy demonstrował swój upór i nieprzekupny charakter.

* * *

I teraz, wyprzedzając wspomnienia Józefa Marka, nieco refleksyjna uwaga, że plotka po paru latach staje się wręcz historyczną anegdotą. Otóż Ignac u nas jest z tym osłem związany poprzez Cigacice. Gdy w roku 1953 przyjechał do Zielonej Góry, z powodu głodu mieszkaniowego w mieście, zamieszkał nad Odrą. Nie sam zresztą. Ten osioł został przypisany do tych Cigacic w sposób wręcz nie podlegający weryfikacji. Sam także opowiadając o naszej przyjaźni z Ignacem zawsze w tle miałem tego Mufego. – Jaki to on był mądry, jaki uparty... Gdy się na Ignaca obraził, to udawał, że głoduje. Ignac cichcem podchodził do żłobu, a gdy osioł go zauważył, to przestawał gryźć, mimo że marchew wychodziła mu z pyska. Albo gdy Ignac wybierał drogę w lewo, osioł postanawiał iść w prawo. I nie było siły. Zazwyczaj tam, gdzie on chciał, były wspaniałe widoki. I to wszystko opowiadał Józef Marek, a miał wszelkie powody, gdyż Mufy, Józef Marek i Ignacy Bieniek zrobili sobie wspaniałą wycieczkę i przez dwa tygodnie malowali pejzaże korzystając z wyboru miejsc zaproponowanych przez czworonożnego przyjaciela. Osiołek miast beczki z wodą ciągnął czterokołowy wózek obładowany namiotem, kocami, kasetami, blejtramami, farbami, puszkami konserw i wodą pitną. Było to dwa lata po krakowskich studiach, które szczęśliwie skończyli w roku 1951. Idea wycieczki to echo doświadczeń impresjonistów. Takie najśłynniejsze eskapady podejmował Re-

noir z Monetem, a plon tych wycieczek wzbogacił niejedno europejskie muzeum. Moi przyjaciele Igacy i Józek po zakończeniu wycieczki zrobili uroczystą wystawę w wielkiej stodole. Rozwiesili we wnętrzu i na wrotach kilkanaście płócien, z których największe miały po półtora metra. Ekspozycja przeszła bez echa. Natomiast o osiołku wspomnień doczekali się wnukowie obu Artystów, a także moja rodzina, szczególnie zaś najmłodsza progenitura, stale się domagając niejako nowych ich wydań. Nie mam wprost odwagi prostować krętych dróg Mufego tym bardziej, że właśnie w Cigacicach jeszcze niedawno trójka poznańskich wnucząt wykrzykiwała: – O tutaj był ten osiołek, co to pana artystę uczył, co ma malować.

Gdy powiedziałem Wieśkowi Nodzyńskiemu, że napiszę do kolejnego numeru „Pionierów” o Ignacym Bieńku powiedział: – Tylko nie zapomnij o Indze, która debiutowała w „Nadodrze” i była poetką. Istotnie Inga pisała wiersze. „To jest gorsze od katorgi czytać wiersze Ingeborgi”. Wieśk mnie posądza o tę fraškę, ale autorem jej był Janusz Jujka, dziennikarz naszej gazety, brat Zbyszka Jujki, znanego w Polsce i nieco dalej rysownika, grafika, karykaturzysty. Kiedyś „Lubuskiej” dostarczał znakomite satyryczne rysunekki.

Ignac z Ingą związał się po studiach. To jest ciekawa sprawa. Józef Marek udawał, że potrafi rozpoznać charakter człowieka ze zdjęcia. Ignac natomiast odczytywał ludzkie losy z dłoni. Obaj uchodzili za znawców w tej dziedzinie. Tacy nawiedzeni amatorzy na długo przed dzisiejszymi zawodowymi jasnowidzami. Ignac z dłoni Ingi odczytywał wszelkiego typu złe damskie skłonności. Mimo to ożenił się. Pomieszkiwali w Krakowie nad Wisłą u ciotki w kuchni, ulica Śląska 6. Czyja to była ciotka, już nie pamiętam. Potem się przeprowadzili i mieszkali „przy Cesarce”, to jest przy drodze, którą cesarz Franc Józef jechał do Krakowa. Ingeborga w Zielonej Górze pracowała w korekcie „Gazety Lubuskiej”. Nocą Ignac po nią wychodził. Korektę bowiem zawsze się robiło po północy. Często jeszcze na linotypach. Podobnie działali cenzorzy. Pewnej nocy na terenie cmentarza (w miejscu dzisiejszego parku naprzeciw szpitala przy Wa-



zów) Ignaca napadli i zranili. Ignac wtedy powiedział do mnie: – Jasiu pomóż mi do Pana Boga, że nie miałem noża. Siedziałbyś teraz z mordercą.

* * *

W 1959 Ignace opuścili Zieloną Górę. Przenieśli się do Bielska-Białej. Miasto przeurocze. Bielsko – śląsko-austriackie, Biała – miasto galicyjskie. Może tam Ignac zbyt często chodził szlakiem barów bielskich, pierwszy to „Klub Żarłoka”, w zabytkowym hotelu teraz „John Bull Pub”, za czasów Ignaca dobry wyszynk, „Pod Czarnym Orłem” bywał Józef Piłsudski, na „Zapiecku” przesiadywała młoda cyganeria, w secesyjnym wnętrzu „Pod Papugą” intelektualiści i ludzie z forsy. Dalej był jeszcze „Klimczok” i bogata „Patria”. Zapewne pensja, którą Bieniek pobierał od 1960 roku w Zakładach Przemysłu Włókiennego „Welux”, nie pozwalała na częste trasy po bielskich barach i to nie jest tym zasadniczym śladem.

Artysta malarz Bieniek pozostawił trwały dowód swojej obecności na wielkiej ścianie zakładu, w którym pracował. W betonowe lico muru wmontowana mozaika ze śladów ludzkiej pamięci i egzystencji. Przynoszono Ignacowi koraliki, porcelanowe talerze, odznaczenia, przedmioty ze srebra, patery, misy, zniszczone i drogie pamiątki po to, aby na stałe mogły zaistnieć w dziele sztuki. Przy tej ścianie deklamował „Kwiaty polskie” Tuwima Wojtek Siemion. Tutaj zbierali się przyjaciele i tutaj właśnie zakończyłem moją wycieczkę limuzyną marki Trabant zatrzymując się na trzy nie planowane dni wraz z rodziną u Ignaców.

* * *

W styczniu 1983 roku odwiedził mnie Bieniek. Obejrzelśmy wystawy, pogadaliśmy, a było o czym. Potem poszedł na chwilę do przyjaciół. Miał spać w pokojach gościnnych w Muzeum. Jednak nie zjawił się na noc. Przyszedł drugiego dnia, rozbity, w przykrym nastroju. Wy pogodził nas alkohol. Wtedy Ignac zrobił mi dwa rysunki, może portrety? Na jednym z nich napisał: „Dobro proszę przekazać do Muzeum”.

I to było moje ostatnie spotkanie z artystą, na którego temat wypowiedziałem się publicznie przeszło czterdzieści lat temu. A jaki ten świat mały! Pani Irena Klisowska-Filipczuk, kierownik Działu Sztuki Współczesnej w naszym Muzeum, gdy dowiedziała się, że chcę coś napisać o Bieńku, przyniosła mi dwa katalogi. Jeden z wystawy poplenerowej (ogólnopolski plener malarski odbył się w Cieplicach w 1984 r.) i drugi „Grupy Beskid – malarstwo”. Katalogi te towarzyszyły wystawom, które odbyły się w Jeleniej Górze w roku 1985, gdy Pani Irena Filipczuk dyrektorkowała w tamtejszym BWA.

Ignac, Drogi Przyjacielu. Jakiego koło zatoczyłeś, aby ponownie przez pamięć o Tobie, powrócić do Zielonej Góry? Z jakiej kolorowej chmurki spoglądasz na nas Ty, Klem, Stefan Słocki, Julek Majerski...?

Jan Muszyński



DĄB „NAPOLEON”

Dziś, drodzy czytelnicy, proponuję wycieczkę poza miasto, ale do niezwykle miejsca. Zapraszam na spotkanie z najgrubszym dębem szypułkowym w Polsce – „Napoleonem” rosnącym na terenie gminy Zabór. Trafić tam można dość prosto. Najpierw musimy dojechać do Zaboru. Następnie pieszo kierujemy się do przedszkola i zostawiając je z lewej strony, idziemy połą drogą około 3 km w kierunku północno-wschodnim. Droga prowadzi prosto przez lasy i nieużytki. Widoczne jest znakowanie szlaku turystycznego. Po dojściu do brzegu terasy schodzimy piaszczystą drogą i zaraz skręcamy w lewo. Wyjdziemy prosto na dąb. Można także dojechać samochodem, ale polna droga nie jest w najlepszym stanie. Myślę, że warto się trochę natrudzić, aby osobiście zobaczyć ten wyjątkowy w skali kraju pomnik przyrody, który przecież rośnie niedaleko Zielonej Góry. Przed wojną miejsce to nosiło nazwę Lippvorwerk. Nasi historycy doszukują się w nazwie rdzenia słowiańskiego i tłumaczą ją na „Lipowy folwark”. Jest on położony 1,5 km na wschód od Mielna (Muhlvorwerk).

Kiedy pierwszy raz oglądałem dąb, zastanawiałem się, ile ma lat oraz czy w przeszłości także wzbudzał szacunek i tym samym, czy był objęty ochroną przez ludzi mieszkających tu dawniej. Szperając w starych dokumentach stwierdziłem, że przed ostatnią wojną należał do grupy 78 pomników przyrody zarejestrowanych na terenie dawnego powiatu zielonogórskiego (dane na 1936 rok) w „Księdze ochrony przyrody” pod numerem 61 prowadzonej przez starostę zielonogórskiego. W Polsce w rejestrze pomników przyrody województwa zielonogórskiego figuruje od 1966 roku pod numerem 7. Należy więc do jednych z pierwszych włączonych do ewidencji pomników przyrody w naszym województwie.

W roku 1920 ówczesna księżna Hermina von Schonaich-Carolath osobiście nadała drzewu imię profesora Teodora Schubego. Księżna została później drugą żoną byłego cesarza Wilhelma II, uzyskując tytuł notabene cesarzowej. Podniosło to jeszcze znaczenie i sławę dębu w okolicy i na Śląsku. Dla przypomnienia – Teodor Schube, znany niemiecki botanik i bojownik o zachowanie wartości przyrodniczych. Na początku naszego wieku osobiście przewędrował wzdłuż i wszerz Śląsk opisując i rejestrując ważniejsze pomniki przyrody. Dzięki niemu Śląsk należał do niewielu terenów ówczesnych Niemiec z dobrze opisanymi drzewami pomnikowymi.

Dzięki pomocy firmy ARSMET ze Starego Kisielina udało mi się odnaleźć żeliwną tablicę odsłoniętą przez księżnę w 1920 roku. Była ona zakopana w ziemi pod dębem i odnale-

ziona na przełomie lat 1970/80. Na tablicy czytamy, że jest to najgrubszy dąb na Śląsku o obwodzie na wysokości piersi 10,5 metra. Co do pomiarów obwodu dębu, to wiąże się z tym cała historia. Mianowicie dąb rośnie na dość stromym zboczu i dlatego trudno jest dokonać pomiarów na wysokości 130 cm. Każdy wykonujący pomiary otrzymuje nieco inne wyniki i każdy jest święcie przekonany, że jego pomiary są najdokładniejsze. W starych kronikach przedwojenny przyrodnik zielonogórski dr Gruhl opisuje problemy związane z mierzeniem taśmą dębu, gdy nawet przy niewielkiej zmianie punktu jej przyłożenia odczytywano inną wartość. Pomiar komplikuje jeszcze istnienie potężnej dziupli. Ostatecznie pracownicy naukowcy Akademii Rolniczej w Poznaniu dokonali pomiarów w 1997 roku i uzyskali następujące oficjalne wyniki: obwód pnia na wysokości 1,3 m = 1043 cm, a wysokość drzewa wynosiła 27 metrów. Może się wydawać, że „Napoleon” schudł w porównaniu z latami dwudziestymi.



Jest to spowodowane bardzo dużą dziuplą, która dziś może pomieścić kilka osób.

Nasz dąb znalazł się w niebezpieczeństwie w 1925 roku, kiedy to miejscowe łobuziaki rozpalili ognisko w pustym wnętrzu dębu. Groziło to całkowitym wypaleniem drzewa. Drzewem zajął się wtedy i uratował je zaborski konserwator zieleni pan Bannert. Dziupla została zamurowana. W czasach nam współczesnych dąb był konserwowany na początku lat osiemdziesiątych oraz w 1996 roku. Dziuplę otwarto już wcześniej, aby docierało tam powietrze i aby drzewo niegniło od środka. Dąb koronę ma już przerzedzoną i niesymetryczną. Najprawdopodobniej pień został uszkodzony przez

piorun. Wiosenne wiatry odłamały jeden z konarów w 1997 roku. W czasie letniej powodzi tego samego roku wody przeszły pod sam pień. Po tych wydarzeniach dąb wymaga prac konserwatorskich.

Trudno jest dziś odtworzyć, skąd wzięła się nazwa „Napoleon”. Wielki wódz armii francuskiej nie mógł go zasadzić, gdyż dąb miałby teraz dopiero ponad 180 lat i byłby obecnie dość niewielkich rozmiarów. Botanicy niemieccy oceniali jego wiek na 700-600 lat, choć sugerowano także i 1000 lat. Do dziś nie ma jednak pewnych danych dotyczących wieku drzewa. Może Napoleon wypoczywał pod tym dębem. Kto chce, niech wierzy.

Dęby zawsze traktowane były jako drzewa święte. Nasi przodkowie zauważyli, że pioruny najczęściej uderzały w dęby. Uznali więc, że drzewo to ma moc przyciągania piorunów i dawania ognia. U Słowian dąb utożsamiano z bogiem błyskawic, ognia i nieba. Jego nazwa po starosłowiańsku to dąbr (stąd pojęcie dąbrowa). Znany historyk bizantyjski Prokopiusz z Cezarei (zmarły w 562 roku) tak oto opisuje życie religijne współczesnych mu Słowian: „Jeden tylko bóg, twórca błyskawicy, jest panem całego świata i składają mu w ofierze woły oraz wszystkie inne zwierzęta”. W dąbrowach albo w lasach liściastych wybierano najpotężniejszy dąb i jemu okazywano część i szacunek. Składane dary z mięsa ginęły w nocy. Wierzono, że pochłania je święty dąb. Dokładniejsze opisy znajdujemy w „Chronicon Slavorum” napisanej w XII wieku przez proboszcza Helmolda z Bozowa (nad Jeziorem Płońskim). Podróżował on wraz z biskupem starogardzkim po terenach zamieszkałych przez zachodnich Słowian. W kraju Obodrytów spotkał święte dęby otoczone płotem z dwiema furtami, przez które mogli wchodzić tylko kapłani i książęta w celu odprawiania pogańskich nabożeństw. Każdy inny człowiek, który przedostał się przez ogrodzenie, był karany śmiercią.

Nasz „Napoleon” jest dębem szypułkowym (nazwa naukowa *Quercus robur*). Jest to najpospolitszy gatunek dębów rosnących w Polsce. Możemy go spotkać w górach do 700 m nad poziomem morza. Drzewo to może dorastać do wysokości 40 m. Liście siedzą na krótkich ogonkach, ale za to żółędzie wiszą na stosunkowo długich szypułkach. Stąd nazwa gatunkowa dębu – szypułkowy. Młode dęby rosną dość szybko. Dojrzałość do wydawania nasion osiągają w wieku 40-50 lat, jeśli rosną w odosobnieniu lub w wieku 70-80 lat, jeśli rosną w zwartym lesie. Od tego momentu rozrastają się już wolniej. Między 120 a 200 rokiem życia dąb osiąga swą górną granicę wzrostu i odtąd tylko grubieje.

Koniecznym nam wspomnieć tu o kulkach spotykanych na liściach dębu. Mało kto pamięta, że dzięki nim mamy atrament. Wiele osób pyta mnie, co to jest i czy dąb choruje. Te kuliste narośla są zwane galasami, galasówkami lub dębiami. Wewnątrz nich znajdują się larwy owada błonkoskrzydłego – galasówki. Galasówki najczęściej wybierają dęby do składania jaj (85%). Owad składa jajeczka na liściach dębu nakładając tkankę. Powoduje to tworzenie się kulistych narośli o średnicy do ok. 2 cm, które stanowią źródło pokarmu dla larwy. Galasy zawierają dużo wody oraz garbników. Wytwarza się z nich garbniki do garbowania skór lub do wyrabiania atramentu.

Leszek Jerzak



Zmieniali się właściciele dóbr zaborowskich. Na szczególną uwagę zasługuje dwóch właścicieli.

W 1744 r. właścicielem Zaboru został Fryderyk August hrabia Cosel, syn króla polskiego Augusta II Mocnego, matką była słynna hrabina Cosel. Z wyglądu podobny do ojca, obdarzony nadzwyczajną siłą i temperamentem, nie stronił od zabaw, pijańskich orgii i awantur. Liczne pojedynki przyniosły mu dodatkową niechlubną sławę zabijaki i człowieka niebezpiecznego. W jednym z pojedynków, z sąsiadem von der Goltzem, niedaleko Łaz, zostaje ciężko ranny i po dwóch latach umiera.

Od 1778 r. dobra przeszły na własność rodziny Schönaich – Carolath. Z tego rodu pochodziła ostatnia cesarzowa Niemiec – Hermína, która mieszkała tu do 1945 r. Ścisłe związki właścicieli Zaboru z dworem cesarskim powodowały liczne odwiedziny znanych polityków, pisarzy, artystów, naukowców. Po roku 1945 Zabór również jest odwiedzany przez znanych ludzi z kraju i zagranicy, co można znaleźć w zapisach księgi pamiątkowej pałacu.

2. Kościół z XVIII w. w Milsku. Jednonawowy z zakrystią i wieżą, barokowe wyposażenie. Wieś wzmiankowana w 1376 r., położona na wysokiej skarpie oddzielającej dolinę Odry. Milsko zostało ciężko doświadczone w czasie wojny siedmioletniej. Położenie wsi na przeprawie odrzańskiej doprowadziło do licznych potyczek wojsk pruskich z rosyjskimi i austriackimi o zdobycie przeprawy. Wieś uległa poważnemu zniszczeniu. Koło Milska znajduje się przeprawa promowa przez Odrę do Bojadel i dalej do Kargowej i Wolsztyna. Po roku 2000 planowana jest budowa mostu przez rzekę i drogi szybkiego ruchu w kierunku Poznania z ominięciem Sulechowa.

3. Zabudowę z połowy XIX w. w Dąbrowie. Wieś założono około 1300 r. na polanie leśnej jako fundację Kapituły Głogowskiej.

4. Kościół z XVIII w. i pałac z XIX w. w Przytoku. Kościół do 1945 r. był zborem protestanckim. Budowla klasycystyczna, murowana z dwoma piętrowymi przedścionkami. Pałac murowany, piętrowy w stylu neorenesansowym, przylegający do parku krajobrazowego z licznymi pomnikowymi drzewami. Własność dworska istniała w Przytoku już w XIV wieku. Poprzednie rezydencje nie zachowały się. Z Przytokiem związana jest histo-

ria Wilhelminy Herzlieb – Minny, niespełnionej miłości wielkiego poety Jana Wolfganga Goethego. Różnica wieku i oddalenie nie pozwoliły na zbliżenie kochających się. W powieści Goethego „Powinowactwo z wyboru” Minna jest pierwowzorem Otylii. Minna przebywała w Przytoku u brata pastora 14 lat. Zmarła w Sulechowie w 1865 r. w wieku 76 lat.

Niecka Zaborska stanowi miejsce wypraw rekreacyjno-turystycznych mieszkańców Zielonej Góry. Nad jeziorami spotyka się licznych wędkarzy oraz miłośników kąpiei i biwaków. Niektórzy mieszkańcy spędzają na biwakach urlopy. Amatorzy grzybów i jagód masowo penetrują lasy. Turyści mogą wędrować wytyczonymi szlakami turystycznymi:

- koloru czerwonego z Zielonej Góry (osiedla Kościuszki, Słowackiego, Śląskiego) przez Stary Kisielin, Drzonków, Zabór do Milska lub odwrotnie,

- koloru niebieskiego z Zielonej Góry (ze Śródmieścia i m.in. dworca PKP) przez Przytok, Łaz do Zaboru lub odwrotnie.

Liczna sieć dróg leśnych i polnych umożliwia wędrowki bez szlaków turystycznych. Warto wybrać się wzdłuż potoku Śmiga i w tzw. Karpaty Kisielińskie. Jest to pasmo wzniesień na południe od Nowego Kiselina i Droszkowa. Z Przytoku, Łaz, Zaboru i Milska można dojść (2-3 km) na łęgi nadodrzańskie, a z Dąbrowy do Białej Góry przy przełomie Odry (2,5 km) i dalej do rezerwatu przyrody Bukowa Góra (4 km).

Na terenie niecki w każdej wsi znajdują się sklepy z dużym asortymentem artykułów spożywczych. W Przytoku, Droszkowie, Zaborze i Milsku są także bary, ale raczej mają tylko charakter barów piwnych.

Dojazdy i powroty na omawiany teren są raczej dogodnie. Z Zielonej Góry kursują autobusy PKS do Milska przez Zawadę, Jany, Przytok, Łaz, Zabór i wracają do Zielonej Góry przez Dąbrowę, Czarną, Zabór i dalej. Autobusami PKS można także dojechać do Milska przez Nowy Kisielin. Autobusy MZK (linii 25) jeżdżą do Droszkowa przez Stary Kisielin i Nowy Kisielin. Sieć dróg utwardzonych, asfaltowych, po których poruszają się autobusy PKS i MZK ułatwia zmotoryzowanym i kolarzom dotarcie na obszar niecki.

Płaskowyż Kisieliński leży pomiędzy Zieloną Górą a Niecką Zaborską i graniczy z:

- drogą leśną z Zielonej Góry do leśniczówki „Kisielin” (prowadzi szlak turystyczny koloru niebieskiego) i wzniesieniami nad Nowym Kiselinem od północy,

- potokiem Śmiga od wschodu,
- drogami Nowy Kisielin-Racula-Zielona Góra od południa,

- miastem Zielona Góra (osiedla Pomorskie i Śląskie) od zachodu.

Administracyjnie należy do gminy w Zielonej Górze. Jest to piękne wypiętrzenie płaskie, piaszczyste, szerokości do 3 km, położone prostopadle do Zielonej Góry.

Na obrzeżach występują pojedyncze wzniesienia o różnych kształtach. Przeważają pola uprawne, łąki, ogródki działkowe i nieużytki. Nie ma większych kompleksów leśnych. Rosną przeważnie sosny, a przy drogach i na obrzeżach spotyka się drzewa liściaste. Na płaskowyżu nie ma również akwenów i cieków wodnych ani też ciekawych i wartościowych zabytków architektury. Są tylko dwie wsie ulicówki:

1. Stary Kisielin, wzmiankowany w 1471 r., w dawnych czasach zamieszkiwany przez ludność polską. Znajduje się tu piętrowy pałac z XIX w. Obecnie jest siedzibą Państwowego Archiwum.

2. Nowy Kisielin założony w XIII w. przez kolonistów niemieckich. Zachował się pałac z XVII w. o skromnej architekturze zewnętrznej z parkiem, kamienna dzwonnica z XIX w. i rezydencja typu willowego z XX w.

Są jednak ciekawostki turystyczne, które warto odwiedzić:

1. Ścieżka dydaktyczna przygotowana przez Nadleśnictwo Przytok (powstała w kwietniu 1996 r.). Ma ona na celu pokazanie podstawowych funkcji lasu i ochrony zasobów leśnych. Ścieżka ma dwie wersje: szlak dla najmłodszych o długości 1,5 km i dłuższy o długości 3 km.

Zamierzenie utworzenia koło Zielonej Góry leśnej ścieżki dydaktycznej było ze wszech miar celowe i słuszne. Mimo upływu prawie dwóch lat od uroczystego otwarcia i wydania ciekawego folderu, dotychczas nie zakończono prac organizacyjnych. Wytyczono szlak, przygotowano stanowiska i ekspozyty, zapomniano o tablicach informacyjnych obok stanowisk i informacji o ścieżce obok Leśniczówki „Kisielin”. Może Nadleśnictwo w Przytoku przypomni sobie o ścieżce i zakończy przy niej prace.

2. Ośrodek sanatoryjny dla dziko żyjących zwierząt, również przygotowany i prowadzony przez Nadleśnictwo Przytok. Ośrodek ma na celu zapewnienie fachowej i troskliwej opieki rannym ptakom, jak i leśnej zwierzynie.

3. Autodrom zbudowany w latach sześćdziesiątych z przeznaczeniem na rozgrywanie zawodów sportowych go-cartów lub innych dyscyplin wymagających asfaltowej nawierzchni.

Przez Płaskowyż prowadzą szlaki turystyczne kolo-

ru:

- czerwonego – Zielona Góra, Stary Kisielin, Droszków, Zabór, Miłsko.

- niebieskiego – Zielona Góra, Leśniczówka Kisielin, Przytok, Łaz, Zabór.

Dojazdy są dogodne i tanie. Autobusem MZK (linii 25 i 26) do Starego Kisielina lub Nowego Kisielina. Autobusami PKS do Starego Kisielina, Nowego Kisielina, Droszkowa (tylko w dni pracy i nauki). Pociągami do

Starego Kisielina. Do ścieżki dydaktycznej, ośrodka sanatoryjnego i autodromu nie można dojechać autobusami MZK i PKS ani też koleją. Trzeba dojść, po przejściu wiaduktu w Starym Kisielinie, szosą w kierunku Jan do Leśniczówki „Kisielin”:

- z przystanku MZK przy b. POM (1 km),
- z przystanku kolejowego (1-1,5 km),
- przystanku MZK obok Państwowego Archiwum (1-1,5 km) lub z Zielonej Góry (ze środmiścia i m.in. dworca PKP) szlakiem turystycznym koloru niebieskiego do Leśniczówki „Kisielin” (5-6 km).

Niecka Zaborska i Płaskowyż Kisieliński ze względu na bliską odległość od Zielonej Góry, dogodnie i częste dojazdy, i powroty oraz ciekawy teren stanowią miejsce wypoczynku sobotnio-niedzielnego mieszkańców.

Jerzy Łatwiński



Rok temu o tej porze, z ulgą w sercu i szczerym uśmiechem na twarzy, pisałam artykuł „Nareszcie wakacje”. Wszystko było dopięte na ostatni guzik. Nie najgorsze świadectwo odebrane, kwiatki nauczycielom wręczone i człowiek z nieskrywaną radością mógł przystąpić do realizacji, tak długo oczekiwanych planów wakacyjnych.

Dziś siedzę w domu bliska rozpacz, ucząc się na nie-szczęśne egzaminy wstępne. Zazdroszczę moim znajomym, którzy mają już wakacje, albowiem warunkiem przyjęcia na ich wybrane uczelnie jest konkurs świadectw. Siedzą sobie pewnie już na gorącym piasku, nad brzegiem Bałtyku, lub oczekują nad jednym z polskich jezior. Jestem pewna, że ich myśli błądzą daleko, daleko od spraw szkoły i nauki.

Szalenie ciężko uczyć się, gdy na drodze śpiewają ptaki, świeci słońce, jest gorąco – słowem lato w pełni. Na dodatek moje rodzeństwo już ma wakacje, ale pocieszam się, że nie tylko ja zmuszona jestem jeszcze myśleć o szkole, ponieważ mam siostrę, która od wczoraj jest absolwentką Szkoły Podstawowej nr 3, czekają także egzaminy tylko, że do szkoły średniej.

Boję się strasznie, ponieważ nawet, gdy opanuję cały materiał, to i tak mogą mnie „zjeść nerwy”, czego dosko-nały przykład był na maturze. Ale to już inna historia.

Co ma być to będzie i nawet jeśli nie zdam egzami-nów, a uda mi się to przeżyć, to zostaną mi przecież je-szcze te wspaniałe, wyczekiwane, trzymiesięczne waka-cje.

Karolina Bazydło

Historia piwowarstwa na świecie

ciąg dalszy z poprzedniego numeru

Stacja doświadczalna piwowarstwa w Zurychu ogłasza już od roku 1900 wyniki pierwszych prac teoretycznych, uzupełnionych doświadczeniami praktycznymi nowego systemu piwowarstwa dr. Nathana. Problemem zasadniczym tego systemu było zapewnienie zupełnej czystości biologicznej oraz przyspieszenia fermentacji i dojrzewania piwa. W celu urzeczywistnienia swoich planów dr. Nathan wprowadza po raz pierwszy do piwowarstwa specjalne, hermetycznie zamknięte zbiorniki aluminiowe, w których odbywa się cała niemal uproszczona znacznie produkcja piwa. Zawdzięczając systemowi nathanowskiemu podczas fermentacji brzezki w zbiornikach zamkniętych, browary uzyskują kwas węglowy CO₂, jako cenny produkt uboczny przemysłu piwowarskiego. Nowy system wytwarzania piwa, w zastosowaniu swym do przemysłu fabrycznego, dający liczne korzyści, jak: minimum czasu, miejsca, zanieczyszczeń, robocizny, wreszcie niemożliwość zakażenia produktu wytwarzanego, wprowadzony został następnie w szeregu browarów całego świata.

Z biegiem czasu zmieniają się warunki piwowarstwa, w browarach ukazują się kadzie i kufy drewniane. Różne gatunki drzewa, a przede wszystkim najtrwalsze drzewo dębowe, zapanowują na długi szereg lat i wieków w wytwórniach piwa.

Mijają stulecia, ulepszają się systemy pracy piwowarskiej, nowa era przemysłu piwowarskiego, era ścisłej współpracy -wiedzy naukowej z techniką specjalną- odrzuca stanowczo materiał drzewny podlegający gniciu i rozkładowi, a więc szkodliwy dla produktu wytwarzanego z punktu widzenia biologicznego.

Rozpoczyna się w browarach dążenie do usuwania drzewa z piwnic fermentacyjnych i składowych. Powstają kadzie i zbiorniki metalowe, jak: żelazne, stalowe, miedziane, aluminiowe, a nawet szklane.

Na początku XX wieku w rzędzie nowoczesnych surowców do wyrobu wielkich naczyń browarowych ukazuje się, jakoby skromny „Kopciuszek”, żelazo-beton, który staje do walki konkurencyjnej z takimi potentatami jak aluminium, a co najważniejsze, wychodzi z tej walki cało i zwycięsko, wkracza do działu specjalnego, nowoczesnej techniki piwowarskiej.

Wobec szybkich postępów nowoczesnej wiedzy piwowarskiej tradycyjnie lub też mozolnie wykuvane w podłóżach skalistych, tak pracownicy zabezpieczane od napływu wody zaskórnej, stare piwnice składowe przechodzą z czasem do historii, ustępując miejsca nowym twórcom techniki nowoczesnej, które już w wieku obecnym pojawiają się w wielkich browarach światowych, europejskich i amerykańskich, otwierając drogę prawdziwej rewolucji, nową erę piwowarstwa.

Do takich nowoczesnych urządzeń odnieść należy prawdziwe „drapacze chmur” – piwnice nadziemne. Piwnice nadziemne, jako ostatnie zdobycze najnowszej techniki piwowarskiej, skracają i prostują drogę, którą przebywa piwo od zbiorników składowych do rozlewni. Droga ta w browarach typu dawniejszego była nieraz bardzo długa, a przede wszystkim pełna niebezpieczeństw natury biologicznej, tak groźnych dla czystości i trwałości wytwarzanego napoju. Zamiana piwnic podziemnych na nadziemne wprowadza do browarów nowoczesnych znaczne oszczędności, redukując w wysokim stopniu pracę pomp, które zazwyczaj tyle siły zużywać musiały na przelewanie piwa ze zbiorników składowych podziemnych do oddziałów filtrów i rozlewni przeważnie o wiele wyżej położonych. Taki nowoczesny drapacz chmur – piwowarska wieża zbiornikowa, zasadniczo mieści w sobie cały szereg oddziałów browaru, a więc całe chłodnictwo brzezki, fermentację główną, wtórną, wreszcie przechowanie piwa gotowego w piwnicach składowych nadziemnych.

Pierwsze 4 lub 5 pięter dolnych zajmują ściśle dopasowane do siebie żelazo-betonowe zbiorniki składowe, chłodzone bezpośrednio wewnątrz. Na tej solidnej podstawie, na wysokości piątego, względnie szóstego piętra, umieszcza się „piwnice”, a właściwie obecnie „salę fermentacyjną” z kadziami lub zbiornikami żelazo-betonowymi. Następne piętra górne przeznacza się na pomieszczenia aparatów chłodzących i wymrażania, pras do osadów chłodniowych, wreszcie samych talerzy, ewentualnie zbiorników chłodzących. Gorąca brzezka z warzelnii dostaje się do wieży zbiornikowej za pomocą pomp od razu na najwyższe piętro olbrzyma – na chłodnicę, przepływając następnie z piętra na piętro, przechodzi aparaty chłodnicze, fermentuje w kadziach żelazo-betonowych, dojrzewa w zbiornikach składowych i wreszcie jako piwo gotowe dochodzi na powierzchnię ziemi do filtrów, wymrażalni i składów wysyłkowych, skąd dostaje się na rampy w celu załadowania do samochodów, wagonów kolejowych, itp.

Piwowarski „drapacz chmur”, wieża zbiornikowa, to obecnie jeden z najważniejszych, okazałe prezentujących się budynków nowoczesnego browaru, ostatnia zdobycz nowoczesnej techniki piwowarskiej. Posiada wiele cennych zalet w dziedzinie nowoczesnej organizacji pracy, jak najdalej posuniętych oszczędności miejsca i materiału, w szlachetnym dążeniu do osiągnięcia najkrótszymi drogami zamierzonych celu, wytwarzania wzorowego napoju użytku codziennego – piwa.

Rewolucja przemysłowa w XIX wieku przyczyniła się do dalszego doskonalenia produkcji piwa. Wynalezienie maszyny parowej pozwoliło na konstruowanie specjalnych silników służących do ogrzewania kotłów warzelnych. Możliwość regulowania ich temperatury oraz pomieszczeń

zapewniała optymalne warunki fermentacji i konserwacji. Dzięki postępowi w transporcie, piwo zaczęło „podróżować”. Przyczyniło się to do rozszerzenia jego produkcji i konsumpcji. Zastąpienie tradycyjnych technik nowoczesnymi pozwoliło na uzyskanie wyższej jakości produkowanego napoju. Znaczące okazały się odkrycia naukowe. Ludwik Pasteur – wielki biolog francuski – dokonał rewolucyjnego odkrycia: fermentację wywoływały żywe organizmy – mikroby. Odkrycie to w połączeniu z odkryciami chemików francuskich, którzy odizolowali słód jęczmienny, oraz botanika duńskiego Emila Hansena, który wprowadził do produkcji drożdże, spowodowały przełom w mikrobiologii, a tym samym i w przemyśle.

Tradycje piwowskie na ziemiach polskich sięgają początków państwowości. Od niepamiętnych czasów piwo było napojem popularnym i lubianym, jego konsumpcja znacznie wyprzedziła rozpowszechnianie się drogich początkowo win, a potem wódek. Piwo znane było już za czasów piastowskich. Zgodnie z opisem kronikarza niemieckiego Thiethmara, król Bolesław Chrobry, zwany przez Niemców „Tragbier”, czyli Piwosz, przyjmował zagranicznych gości polskim piwem. Było ono popularnym napojem Leszka Białego, potem Władysława Jagiełły. Najstarszy zachowany dokument z 1272 r. zawiera wzmiankę o browarze z karczmą.

W kronikach Bogusława znajduje się również informacja o piwowarach zwanych wówczas mielcarzami.

Kardynał i biskup warmiński, późniejszy papież Pius II, opisując Polskę w 1405 r. i panujące w niej obyczaje, podaje, że piwo było podstawowym i ulubionym napojem.

Podobnie jak w innych krajach, początkowo piwo wytwarzano tylko na użytek domowy. W średniowieczu produkowano je już masowo w całym kraju.

Jak wynika z najdawniejszych źródeł, pierwsze browary mieściły się w klasztorach. Na przełomie XV i XVI w. piwo oferowały miejscowym i przyjezdnym liczne karczmy wiejskie. Jak gęsta była ich sieć, mówią następujące dane: w 1494 r. w czternastu wsiach położonych na Kujawach istniały 23 karczmy (starostwo brzeskie), jedna karczma przypadała na 10 gospodarstw chłopskich. W 1514 r. w niezbyt rozległej Ziemi Łęczyckiej naliczono już 232, a w powiecie

poznańskim 201 karczm. W następnych stuleciach sytuacja była podobna. Najczęściej na wsi istniała jedna lub dwie karczmy, poza nimi piwo można było nabyć w przydrożnych zajazdach.

Jak bardzo popularnym napojem było piwo, może świadczyć fakt, że obowiązkiem wyszynku obarczano czasami kolejno wszystkich gospodarzy w danej wsi. Zdarzały się też przypadki, że podaż była zbyt wysoka w stosunku do popytu i wskutek konkurencji część karczm ulegała likwidacji. Początkowo posiadaczem karczmy był z reguły sołtys, który najczęściej oddawał ją w dzierżawę dziedziczną

– w zamian za umiarkowane świadczenia w pieniądzu i produktach żywnościowych – jednemu z kmieci, czasem mieszczaninowi z pobliskiego miasta.

Na przełomie XIII i XIV wieku przywileje królewskie nadawały prawo produkcji piwa miastom. Piwowarzy zaczęli z czasem tworzyć cechy czuwające nad jakością wytwarzanego piwa i uczciwością handlu tym napojem. Istniały one w Wągrowcu i Kościanie w Wielkopolsce, w Warszawie oraz Gdańsku.

Jak donoszą kronikarze tamtych czasów, w 1378 r. cech piwowarów w Gdańsku podniósł głośny bunt przeciw wprowadzeniu do miasta piwa warszawskiego. Piwo gdańskie było znane i cenione. W XVII w. miasto miało

już swoją własną piwiarnię, a jeden z najbardziej znanych browarów należał do sławnego astronoma Jana Heweliusza.

Z innych miast, które zaczęły produkować piwo i pozostały wierne tradycjom do dziś, należy wymienić Żywiec, Tychy, Grodzisk Wielkopolski i Warzę. Oryginalne i cenne dokumenty mówiące o warzeniu piwa w Żywcu znajdują się w miejscowym muzeum. Najstarszy z 27 stycznia 1537 r. spisany na pergaminie, dotyczy nadania przez braci Jana Komorowskiego, kasztelana połanieckiego i oświęcimskiego, oraz Wawrzyńca Komorowskiego, sekretarza Zygmunta I Starego, mieszkańcom Żywca wyłącznego prawa robienia słodów, warzenia i szynkowania piwa.

cdn.

Stanisław Prałat



PIWO W KUCHNI

POTRAWY Z RYB I WARZYM

Węgorz w piwie po polsku

- 900 g węgorza • 3/4 l piwa jasnego • żółtko
- 75 g masła • łyżka mąki • 8 grzanek
- natka pietruszki • sól, pieprz

Oczyszczoną rybę pokrajać na dzwonka, obsmażyć na ostrym ogniu w części masła, posolić, posypać pieprzem, przełożyć do naczynia, polać piwem, posypać posiekaną natką pietruszki. Dusić pod przykryciem około 45 minut na bardzo małym ogniu. W tym czasie usmażyć grzanki. Pozostałą część masła stopić, dodać żółtko,

dobrze wymieszać. Na ogrzonym półmisku ułożyć ostrożnie rybę. Pozostały sos z duszenia doprawić przygotowanym masłem i żółtkiem, zagotować. Rybę polać sosem, wokół ułożyć grzanki.

Zupa piwna po polsku

- 1 l ciemnego piwa • żółtko • pół szklanki kwaśnej śmietany • 2 łyżki masła • 2 łyżki mąki
- 100 g stariego sera

Z masła i mąki zrobić zasmażkę, następnie stopniowo wlać piwo, cały czas mieszając, aby nie dopuścić do powstania grudek. Następnie dodać śmietanę z dokładnie rozbełtanym w niej żółtkiem, posolić, dosypać pieprz oraz utarty ser.

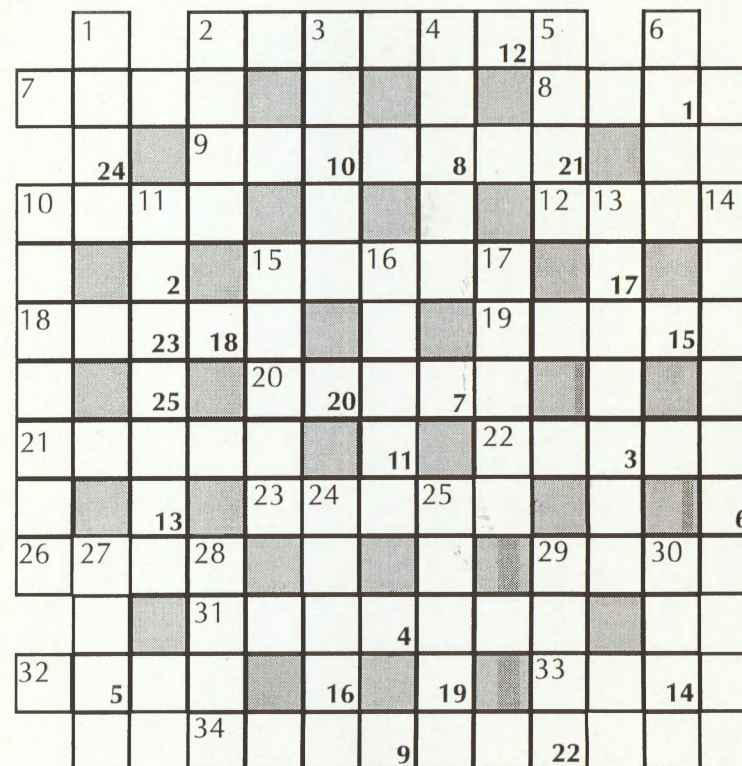
Jajka z pomidorami

- 6 dużych pomidorów • 6 jajek
- 100 g utartego twardego sera • 50 g masła
- 3 łyżki jasnego piwa • sól, pieprz

Umyte i obrane ze skórki (po sparzeniu) pomidory pokrajać w plasterki i ułożyć w naczyniu do zapiekania. Wbić na wierzch jajka, posypać tartym żółtym serem. Na każde żółtko wlać łyżkę piwa. Zapiekać około 15 minut w gorącym piekarniku.

Stanisław Prałat

KRZYŻÓWKA Z HASŁEM



POZIOMO:

2. ferie szkolne, 7. wyciek z rany, 8. królowa kwiatów, 9. podwórkowy odkurzacz, 10. szatan w szklance, 12. pogoda, 15. majątek państwa jak z bajki, 18. rodzaj zamszu, 19. siostra Balladyny, 20. magmowa skała wylewna, 21. taniec przytulany, 22. olsza, drzewo brzoźowate, 23. moskiewski patriarcha od 1652 r. 26. umiar w postępowaniu, 29. lisia nora, 31. wszyscy krewni, 32. dawne cło na rogatkach miast, 33. zapora rzeczna, 34. szpetna, niezgrabna osoba.

PIONOWO:

1. roślina oleista, 2. materiał opatrunkowy, 3. roztańczony grzyb, 4. człowiek z nizin dla górala, 5. pędzi na sygnale, 6. haft z dziureczkami, 10. pięciu muzyków, 11. fragment, wyjątek, 13. radość, zadowolenie, 14. stan w USA, 15. reprezentacyjny pokój, 16. zabytkowy mebel, 17. podłużna czekoladka, 24. indor, 25. zawsze wypływa na wierzch, 27. schronienie dla osoby prześladowanej, 28. ślad, 29. górnicza szopa, 30. rodzic.

STANGAR

Litery w zaznaczonych polach od 1 do 25 utworzą rozwiązanie, które należy przesłać na adres redakcji: ul. Stary Rynek 1, Ratusz – Sala Wspomnień, 65-067 Zielona Góra.



Grünberg i Schles. – Luisental



Na okładce, zarówno na pierwszej jak i ostatniej stronie, prezentujemy jedno z ulubionych miejsc odpoczynku i rozrywki dawnych zielonogórczan, przed wojną noszące nazwę Luisental, a po 1945 r. Wągmostaw. Nad brzegiem położonego wśród drzew stawu, znajdowała się restauracja, a także wypożyczalnia łódek. Po wojnie odbywały się tam zabawy, a restauracja słynęła, jak wspominają pamiętający te czasy, między innymi z wędzonych ryb. Z czasem podupadła, chociaż czynna była jeszcze w latach sześćdziesiątych. Niestety, nie dotrwała do dnia dzisiejszego, nie ma jak widać na dolnym zdjęciu śladu po restauracji jak i po wypożyczalni łódek.

